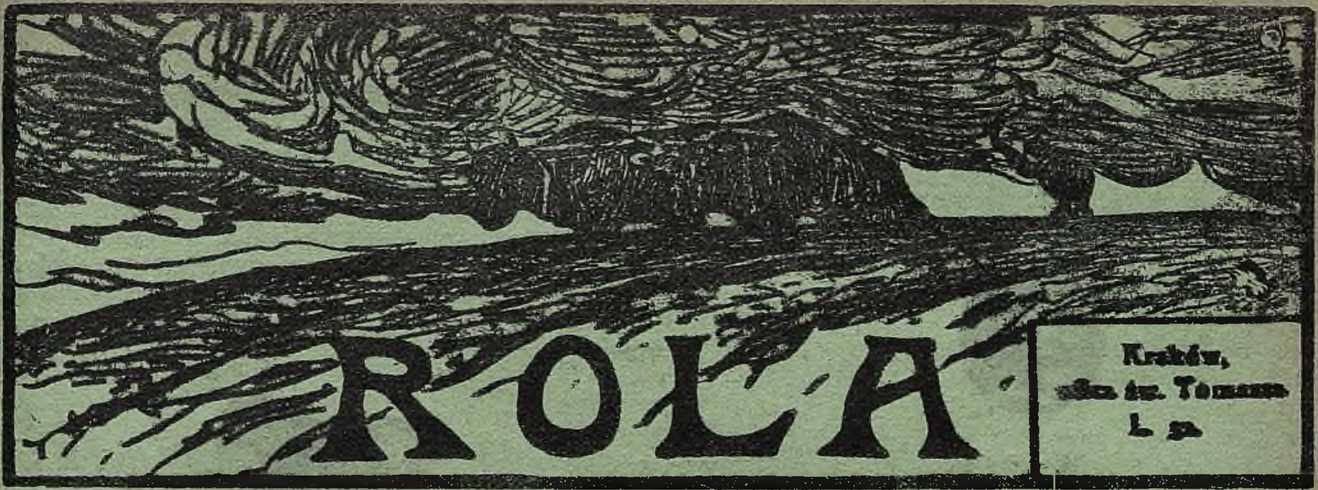
Numer 30. Należ. poczt. opł. gotówką. Dnia 23 Lipca 1933



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Recepta na upał.

Gorącym płomieniem jasne słonko płonie,
I upałem strasznym obdarza ten świat...
Człowiecze! Jeśli pragniesz ochłodzić swe skronie,
Chciej posłuchać tylko kilku, tak praktycznych rad.
Ożeń się z damą, która o tobie tak sądzi:
Że metali szlachetnych masz u siebie wbród!
Gdy po ślubie twa żona spostrzeże, że błądzi,
Będzie wtedy dla ciebie tak zimna, jak lód.
Miej przy boku teściowę, a wśród domu swego
Będziesz tonął wciąż w „kwasach" od głowy do nóg!

W szkole.

Nauczyciel: Centaurami zwano w starożytności bajeczne potwory: pół człowieka, pół konia...

W tej chwili podnosi się z ławki mały Icuś:

— Czego ty chcesz, Icusiu?

— Ja chciałem się tylko zapytywać pana profesora, jak taki centaur zachorował, to do kogo on chodził się leczyć, do doktora, czy do „weteryniarza?"

Wytłómaczyła.

— Moja mamo, tyle teraz piszą o jakieś reformie wyborczej. Cóż to za jedni ci wyborcy i wybrani?

— Widzisz duszko, wyborcy to kawalerowie, a wybrane oczywiście panienki, tylko niestety, jak u nas, jest teraz bardzo mało wyborców.

Szeryf-weterynarz.

W pewnem małem amerykańskiem miasteczku na zachodzie „szeryfem", czyli dyrektorem policji i sędzią w jednej osobie, generalnym strażnikiem prawa jest weterynarz, bardzo dobry i wzięty. Pewnej nocy dzwoni do niego telefon. Żona podnosi słuchawkę:

— Czy pan szeryf jest w domu? — pyta jakiś głos.

— A czy pan go potrzebuje jako szeryfa, czy też jako weterynarza? — pyta żona.

— I jedno i drugie — odpowiada głos — gdyż nie możemy sami w żaden sposób naszemu nowemu buldogowi otworzyć paszczy, którą chwycił za nogę włamywacza.



Żydowskie zagadki.

— Moryc, dam ci trzy zagadki, zgadnij co to jest: ma dwie nogi, jest całkiem czarne i lata w powietrzu.

— Bardzo łatwo zgadnąć, to jest wrona.

— Dobrze, a teraz druga zagadka: ma cztery nogi, jest tak samo czarne i tak samo lata w powietrzu.

— Co może latać z cterema nogami? Nie wiem.

— Ja ci powiem: dwie wrony

— A teraz trzecia zagadka: Ma sześć nóg, jest czarne i też lata.

— Idź głupi. To jest trzy wrony.

— Właśnie ty głupi, bo to jest mucha.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Numer 30. Rok XVI. Kraków, dnia 23 lipca 1933.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1933: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz.. kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« Kraków, ulica św. Tomasza 32.

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868

Kraina mlekiem i miodem płynąca.

Słusznie nazywano niegdyś Polskę krainą mlekiem i miodem płynącą. Wskutek rzadkiego zaludnienia, a przez to rozległych lasów i łąk było w Polsce dużo bydła, a w lasach roiły się miljardy skrzętnych pszczółek, napełniających misterne plastry wonnym i słodkim miodem, który pokrzepiał, odżywiał i leczył naszych praojców. Dziś, niestety, w Polsce mleka coraz mniej, a mniej jeszcze miodu, którego wartości ogół mieszkańców zupełnie nie docenia.

W miesiącu, w którym w dawnych czasach strugi miodu lipowego płynęły do naczyń naszych praojców, będzie na miejscu pomówienie nieco o dawnem bartnictwie.

Badania naukowe przyznały Polakom i innym Słowianom odwieczną znajomość bartnictwa i rolnictwa, a żaden kraj europejski nie dorównał w hodowli pszczół okolicom nadwiślańskim. Pisarze dawni wspominają, że kwitły tam jakieś szczególnie słodkie zioła, pachniały ogromne lasy lipowe, rozkosz pszczół, odwdzięczających się wonnym lipcem. Przy takiej roślinności nie potrzebowały pszczoły nadwiślańskie sztucznego hodowania, lada wydrążony pień służył za ul, lada bór był pasieką.

Całe osady trudniły się wyłącznie pszczelnictwem, a każdy z osadników składał corocznie daninę po 20 urn miodu. Uzyskiwano go tyle, że można było obdzielić nim całą Germanję, Brytanję i najdalsze strony Europy. Uchodził też miód, podobnie jak i futra w Polsce piastowskiej za rodzaj pieniędzy, to jest za środek, ułatwiający wymianę różnych przedmiotów. Niektóre kary sądowe opłacano miodem. Krążki i świece woskowe stanowiły zwyczajne kary duchowne za grzechy i ofiary na kościół.

Wosk stanowił ważny przedmiot handlu, a odpowiednia temu mnogość bartników i bartodziejów organizowała się w osobne stowarzyszenia czyli bractwa. W biskupstwie płockiem na Mazowszu, w Broku Nadbużnym, istniało liczne stowarzyszenie bartników, które miało nawet specjalnego starostę miodowego.

Gdy nie znano cukru, miód zastępował jego użytek i służył do sycenia napoju, pożądanego w krainie, gdzie nie dojrzewała dostatecznie winna jagoda. Toteż ludzie, oddający się hodowli pszczół leśnych, byli bardzo pożyteczni i poszukiwani. A musieli oni przedewszystkiem posiadać sztukę wchodzenia na wysokie, gładkie i grube sosny, w których zwykle na kilka sążni od ziemi znajdowały się barcie. Dokonywali zaś tego zapomocą „leziwa", czyli mocnego sznura, na którego środku znajdowała się nawleczona wąska ławeczka.

Z postępem czasu, gdy się lasy przerzedziły lub całkowicie zostały wycięte, pszczoły nawykłe do obfitego pożywienia, jakiego im roślinność leśna dostarczała, nie mogły się utrzymać w takiej, jak dawniej, ilości i musiałyby zginąć, gdyby im człowiek nie przyszedł z pomocą. Wypiłowywano więc część pnia, obejmującą dziuplę z zamieszkałemi w niej pszczołami i przenoszono ją w pobliże mieszkań ludzkich, gdzie pszczoły znajdowały pożywienie na kwiatach roślin, rosnących na polach, w ogrodach, sadach, oraz na łąkach. Był to początek bartnictwa domowego.

Znakomity hodowca pszczół, Polak, ks. Jan Dzierżon, wpadł na myśl zastosowania w ulach listewek, u którychby pszczoły zawieszały swe plastry, a inni, którzy myśl jego zrozumieli i podjęli, zaprowadzili w ulach ramki tak, że dziś można cały ul rozebrać, miód wytrzepać, zaś plastry nieuszkodzone z powrotem do ula wstawić.

Przy takiem udoskonaleniu pszczelnictwa mogłaby być znów Polska krainą miodem płynąca, ale, niestety, w czasach dzisiejszych wartości miodu ludzie nie doceniają. Nie chcą wiedzieć, że miód zawiera w sobie wszystkie składniki, nietylko odżywcze, ale i lecznicze, a przeto jest nadzwyczaj miłym i zdrowym pokarmem nietylko dla dzieci, ale i dla starszych. Mało ludzi z własną szkodą kupuje miód, a wskutek tego hodowcy pszczół zniechęcają się, nie mając zbytu na ten drogocenny artykuł i do hodowli pszczół się nie garną. Winę tu ponoszą w pierwszym rzędzie matki, które napychają swą dziatwę podejrzanej jakości słodyczami, zamiast dać jej codziennie bułeczkę z słodkim miodkiem, lub upiec miodownika na miodzie naturalnym, a nie na sztucznym fabrykacie,

jak to czynią wielkie wytwórnie rozmaitych pierników.

O ile zbyt miodu w Polsce powiększy się, to trzeba mieć nadzieję, że i hodowla pszczół przybierze większe rozmiary, dając krajowi duże korzyści, bo Polska jeszcze nie przestała być krainą mlekiem i miodem płynącą, tylko my jej sami w tem przeszkadzamy, aby i nadal, jako taka, wśród ludów całego świata słynęła.

Zdrada wojewody Wincza.

Powieść historyczna.

(Ciąg dalszy).

W dali ciągle coś było słychać, jakby morze zbudzone szło zalewać ziemię... i huk ten stłumiony, tak właśnie, jak fale, przestankami był przerywany.

Spali Niemcy — oprócz Teodoryka, który przed obrazem N. Panny się modlił. Dwaj kompani stali u drzwi jego... Wstał wreszcie z klęcznika i płaszcz narzuciwszy na ramiona, szedł przez pusty wielki namiot ku wnijściu. Ucho jego chwyciło ten szum fali... to toczenie się jakieś głuche.

Stanął, wyprostował się i pobladł.

Odchylił wnijście — słuchał i oczy mu słupem stanęły.

W obozie o krok nic widać nie było, a nawpół mgłą obwinięte straże najbliższe, siedziały, jak skamieniałe... Brwi mu się ściągnęły groźno.

W tej chwili tentent powolny zaczął dochodzić tak wyraźnie, iż stojącego kompana za ramię pochwycił.

— Pobudka! — krzyknął — dzień! Śpi wszystko! Pobudkę uderzyć!...

Wśród ciszy głos marszałka rozległ się głucho i stłumiony w powietrzu, które mu iść daleko nie dało, zgasł u progu.

Kompani biegli do straży.

W dolinie drżały konie i jakby szczękały oręże — skąd? czyje? swoje czy obce?... marszałek rozeznać nie mógł. Uczuł w sercu trwogę i przeczucie jakieś — groźbę niebezpieczeństwa, w które nie wierzył dotąd.

Widmo Łoktka stanęło mu przed oczyma. Był niemal pewien, że on to nadciąga, korzystając z mgły i ociężałości ludzi jego, długiemi po kraju bezbronnym łupieżami znużonych i wysilonych.

— Na koń! — zawołał, chwytając za ramię w szarym płaszczu nadchodzącego pół-brata krzyżackiego, Jurgę — na koń i w cwał za Ottonem Luterburgiem, aby mi w pomoc pośpieszał. Polacy nadciągają!...

Jurga stanął zdumiony, gdyż nikt ich nie słyszał, ani widział. Przeczuł ich Teodoryk.

Jak stał, napół ledwie i lekko uzbrojony, pierwszego konia, który mu się nastręczył, pochwycił i dosiadł. Był to wierzchowiec jednego ze straży obozowej, śpiącego pod namiotem.

Marszałek skoczył na siodło, a to było znakiem dla dwóch jego kompanów, którzy nigdy go odstępować nie mieli prawa, by także konie porwawszy, zdążali za nim.

Teodoryk popędził w tę stronę, z której go tentent dochodził najwyraźniej.

Dzień coraz był pozornie jaśniejszy, ale na ziemi osiadająca mgła biała nie dawała nic widzieć o kilka kroków.

Przebił się marszałek przez namioty i wozy i odważnie puścił się w dolinę. Tu stąpanie koni i chrzęst zbroi wyraźniej się słyszeć dawały, — ale napróżno wzrok wytężał... nigdzie żadnych przednich czat dostrzec nie mógł.

Obawa o los oddziału, któryby bez niego, straciwszy wodza, łatwo mógł się rozprzęgnąć, nie dozwalała mu posuwać się zbyt daleko. Zwolnił kroku.

Wtem z gęstej mgły wynurzać się zaczęło kilku jeźdźców.

Zbrojni dobrze, w hełmach żelaznych, z lekkiemi włóczniami w rękach, na koniach, siatkami żelaznemi okrytych, posuwali się zwolna, napół jeszcze mgłą okryci.

Dość było widoku ich dla marszałka, aby to, co w nich jako przeczucie się objawiło, stało się dlań rzeczywistością.

Krakowski król podchodził do ich obozu!

Teodoryk zawrócił konia i pędem rzucił się nazad, a pierwszych namiotów dopadłszy, wołać począł głosem wielkim, rozpaczliwym:

— Na koń! na koń!...

Ludzie schwyceni wołaniem tem wśród snu, wybiegli nieodziani z namiotów, straciwszy przytomność, schwytając i rzucając, co napadli. Starszyzna, rychlej zbudzona, uwijała się śród obozu z podniesionemi mieczami, płazując opieszałych, uderzając po namiotach, rozkazując trąbić i krzycząc:

— Do broni! do koni!

Popłoch niewysłowiony w mgnieniu oka poruszył całym, przed chwilą jeszcze w głębokim śnie spoczywającym obozem...

Nieprzyjaciela widać jeszcze nie było, lecz czuli go na karkach wszyscy.

Teodoryk nie zsiadając z konia, biegał dokoła.

Rozkazał łańcuchami żelaznemi opasać obozowisko swoje, które pierwsze natarcie wstrzymać mogły, by dać czas rycerstwu uzbroić się i stanąć w szeregach.

Żołnierz, który tak długo miał do czynienia z ludem bezbronnym i nabrał zuchwałości bezmiernej — chwycony niespodzianem niebezpieczeństwem, w części mu nie dowierzał, w części znalazł się wobec niego bezradnym. Odwykł od boju...

Napaść, która się gotowała w łonie tych białych ciemności, miała w sobie coś zagadkowego, niezrozumiałego, strasznego tem, że się nie dawała pochwycić, że nieprzyjaciel przychodził niepostrzeżony i nie można go było obliczyć.

Część wojsk krzyżackich, z najemników złożona, jeszcze nie wytrzeźwiona po wczorajszym chmielu wieczornym, nie wierzyła w popłoch... miała go za jakąś igraszkę lub wymysł...

Komturowie tylko, goście obcy, starszyzna z większą przytomnością umysłu odziali się we zbroje i występowali w pośrodek obozu, nawołując do siebie żołnierzy, którzy z pośpiechu ledwie się uzbroić mogli.

Kupki składały się niejednolite, nie tak, jak iść były nawykłe... Wrzawa obozowa nie dawała słyszeć nadciągającego nieprzyjaciela.

Komturowie Elbląski i Gdański, którzy się wysunęli poza łańcuch, już obóz opasujący w części — widzieli go; harcownicy polscy wypadali z mgły ku obozowi, ukazywali się i znikali.

W małych przestankach cichszych, marszałek mógł pochwycić oddalone głosy surm polskich, przeraźliwe, dzikie a śmiałe... zdające się urągać Krzyżakom. Zuchwalstwo to, z jakiem król, tak długo unikający spotkania, teraz sam do niego wyzywał, było dla Teodoryka upokarzającem. Zwiastowało ono,

że ostrożny Łoktek musiał być pewien siebie i swej przewagi.

Taż sama myśl odjęła męstwo komturom Hermanowi i Albertowi, ale natchnęła ich rozpaczliwym szałem...

Czuli, że cześć, a może i życie stracić mieli — chcieli je przynajmniej walką okrutną okupić. Herman, co nie przebaczał nikomu, wiedział, że mu nie przebaczą... Zebraną garść prowadził ku opasującemu obozowisko łańcuchowi.

Teodoryk objeżdżał namioty i ludzi rozpierzchłych słał tam, gdzie mu się pierwszy napad grozić zdawał... Domyślał się Łoktka z jednej strony, od której turkot i surmy słyszeć się dały — objeżdżając wkoło, przerażony został, widząc w innych częściach obozu przemykające z różnych stron polskie czaty.

Tu i tam surmy grały, wyzywając...

Polacy więc bez mała otaczali dokoła...

Wśród tego zamieszania, które panowało pomiędzy Niemcami, nikt ani pomyślał o polskich posiłkach wojewody. Gdyby Niemcy byli spojrzeli na tych sprzymierzeńców swoich, mogliby byli już teraz domyślać się w nich, jeśli nie zdrady, to umyślnej opieszałości.

Gdy tuż obok biegał żołdak niemiecki, rozgorzały i nieprzytomny, wadząc się o broń i konie, aby coprędzej stać w gotowości do obrony — w polskim obozie panował spokój i milczenie... Nie przestraszył się tu nikt. Zwolna wysuwały się już w pełnych zbrojach postacie blade, włócznie w ziemi utkwione powoli ściągając, konie opatrując i nie śpiesząc do wystąpienia. Tu wszystko zdawało się być w gotowości i w lepszym, niż zwykle, porządku.

Spoglądano ku namiotowi wojewody, który się nie ukazał. Dobek z chustą białą zawiązaną na hełmie, które sobie dla znaku pewnie poczepiali i inni Nałęcze — snuł się bliżej niemieckiego stanowiska, ciesząc się widokiem bezładu, jaki tu panował.

Szczęściem dla wojewody, czy zapomniano o nim, czy tak nań mało rachowano, czy też nie miano czasu się troszczyć o Polaków, — nie zajrzał tu nikt. Łańcuch, którym się opasywali naprędce Niemcy z rozkazu marszałka, nie objął polskiego obozu, który poza jego obrębem pozostał.

Nieprzyjaciel, dotąd zaledwie surmami zdała się oznajmujący, w chwili, gdy połowa Krzyżaków nie była do boju gotowa, a część znaczna błąkała się bezładnie, w jedne miejsca cisnąc tłumnie, drugie pozostawiając bez obrony — nagle wystąpił z za zasłon, które go kryły i wszędzie wielkim lasem włóczni runął na rycerzy, stojących u łańcucha.

Krzyżacy wytrzymali to uderzenie pierwsze, odpierając je ciężkiemi włóczniami swojemi — kilku jezdnych obaliło się z końmi, z jednej i z drugiej strony rozpoczęła się walka wściekła.

Teodoryk, znajdujący się w pośrodku, widział już, że był zewsząd opasany i że siłom tym, których policzyć nie mógł, oprzeć się nie potrafi.

Z trwogą pomyślał, czy posłaniec po Chełmińską brać wymknąć się zdołał, czy komtur mu ją na odsiecz przyprowadzi. W tem była nadzieja cała...

Teraz dopiero, gdy już zbroje o miecze szczękać zaczęły i bój u łańcuchów wrzał zajadły, wzrok jego padł w tę stronę, gdzie stał oddział wojewody. Przypomniał sobie swych lekceważonych sprzymierzeńców, z radością rachował bowiem, że Wincz, ocalając głowę, bić się będzie rozpaczliwie.

Kilkadziesiąt kroków dzieliło go od tych namiotów — pobiegł ku nim... Łańcuch je od Niemców przedzielał. Za mgłą dostrzegł opróżnione już obozowisko, powywracane szałasy, poobalane wozy — i w dali wojewodę na koniu, ludzi w szeregach, jakby tylko znaku oczekujących.

Zdumiało go, że zamiast twarzami być zwróceni ku nieprzyjacielowi, stali, włócznie na obóz niemiecki nastawiwszy, czołem przeciw niemu.

Marszałek chciał dać rozkaz jakiś, gdy wśród mgły ujrzał nadbiegającego konno rycerza z białą chustą w ręku, który wojewodzie wskazywał obóz krzyżacki.

Ziemia zatętniała i z okrzykiem dzikiej radości, z wybuchem szału oddział wojewody puścił się z tej strony, która wolną jeszcze była od napaści, na obóz Krzyżaków.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Grosz wdowi.

Opowieść z czasów Jezusa Chrystusa.

(Dokończenie).

— O tak, śmiały się ze mnie, — powtórzyła niewidoma, — i zniosłam to cicho, bo to było tylko ze mnie. Lecz gdybym była twoją żoną, toby mi serce z żalu pękało, nie śmiałabym więcej chodzić razem z tobą. Myślałabym zawsze: może on się wstydzi za mnie! Byłabym jeszcze bardziej nieszczęśliwą, niż teraz jestem. Każdego dnia pytałabym się, czy nie żałujesz swego kroku.

— Nie pytałabyś się, — przerwał jej żywo Joel, — gdybyś mnie lepiej znała. Jestem zły, niedobry, prostak, lecz ty nie wiesz... jest we mnie coś co śpiewa. Ty wzniecasz światło w mej duszy. Kiedy chcę czuć się szczęśliwym, pasąc nocami lub dniami, nie patrzę na niebo, ani na gwiazdy, ani na owce moje, ani na trawy kołysane wiatrem. Zamykam oczy i w duszy patrzę na ciebie. Widzę, jak chodzisz i jak się uśmiechasz. Czasem staję się złym. Bo cieszę się, że nie odzyskałaś wzroku, bo gdybyś zobaczyła, jaki jestem brzydki i nędzny, pogardzałabyś mną.

Pokornie powtórzył raz jeszcze: ,

— Zły jestem.

Lecz Rachela poszukała omackiem spaloną od słońca jego rękę i przytrzymała ją w swych dłoniach.

Wtem weszła Sara. Uśmiechnęła się do dzieci i uściskała Rachelę. Joel mówił dalej:

— Tymczasem chciałbym być dobrym. Chciałbym być dobrym zwłaszcza od kilkunastu dni. Niedaleko miejsca, gdzie pasę owce, w okolicy Betanji, od pewnego czasu przychodzi mąż w otoczeniu innych. To chyba prorok być musi, tak myślę. Mówi tak pięknie. Nie domyśla się, że słucham słów jego, schowany w trawie. Pozostaję tak, póki on jest i długo jeszcze po jego odejściu... Często mówi o biednych, takich jak my; powiada, że ich kocha i pewnego dnia uczyni ich szczęśliwymi... Mówi, że jesteśmy dla niego jako owieczki, że woła nas, zna nas a my jego znamy... Nie śmiałem mu się pokazać, rozumiesz, przecież ja nawet czytać nie umiem... Lecz gdybyś tak jutro przyszła? Jestem pewien, że nie płakałabyś więcej. Kto raz posłyszał głos Jego, temu lekko na sercu. Ja naprzykład nie smucę się już wcale, że nieraz brak nam chleba. A ty, wierzę, nie cierpiałabyś już więcej, że jesteś niewidomą.

Rachela słuchała chciwie.

— Joelu, zawołała wreszcie, — zaprowadzisz nas! Pójdziemy matko, nieprawdaż? Nie powiem do Niego ani słowa. Joelu, źle zrozumiałeś pewnie, jeśli mówisz, że On kocha nas biednych. Możni nie kochają

biednych... A jeśli On ma słowa pociechy dla tych, co cierpią...

— On ma słowa dla wszystkich, — odrzekł Joel z przekonaniem. — A potem rzec tylko trzeba: „Panie uczyń", a On uczyni. Dzisiaj rano, ci co Go otaczali, pytali Go się o drzewo uschłe... Niebardzo zrozumiałem. On im odpowiedział: „Wierzcie a otrzymacie, proście a będzie wam dane".

— Ach! — szepnęła Rachela, — miałby posiadać tak wielką władzę? Możesz On wszystko? A gdybym tak prosiła! Prosiła Go...

Nie śmiała dokończyć, drżąc na myśl samą. Lecz Joel zrozumiał, choć nie dokończyła i bojąc się rozczarowania, rzekł smutnie:

— Nie mówił o uzdrawianiu.

— To cóż? Jeśli powiedział, że wszystko w Jego mocy... — odpowiedziała.

Matka zaniepokoiła się:

— Joel nie zrozumiał zapewne; szaleństwa bredzi. Czyż człowiek może mieć władzę Jehowy?

Dała znak niezadowolenia Joelowi, który spuścił głowę, czując się winnym. Opowiedziała im potem pobyt w świątyni. Lecz Rachela nie słuchała. Powtarzała tylko:

— Pójdziemy, matko, pójdziemy!

Wieczór zeszedł szybko, mimo biednej wieczerzy składającej się z kawałka suchego chleba. Coś promiennego unosiło się w izbie; na twarzach gościł uśmiech, piersi podnosiły się lżejszym oddechem i każdy w głębi serca czuł budzący się cień nadziei...

III.

O świcie wdowa z dziećmi była na drodze ku Betanji. Świeżość poranku orzeźwiła ich i uspokoiła dręczący niepokój, nadzieję nieuchwytną, zaledwie im świadomą a jednak palącą jak ogień. Wszedłszy na wyżynę ogrodu Oliwnego zeszli do doliny, gdzie mrok bladawy rozjaśniał łagodny blask jutrzenki. Na widnokręgu cienie bladły, jaśniały zwolna i złociły się od błysku zaledwie widocznego. Wtem nagle, na tem przecudnem niebie Wschodu, rozbłysło wspaniałe światło dnia wraz z śpiewem ptasząt i lekkiem drżeniem palm. Rachela wyciągnęła ręce ku pierwszym promieniom słońca, chcąc także uczestniczyć w radości ziemi.

Joel, lękając się opóźnienia, kroczył niecierpliwie, pędząc przed sobą owce. Otóż nareszcie drzewo figowe, dzikie, na pół uschłe w otoczeniu zieleni. Lecz Mistrz, czy przyjdzie dziś? Pójdziesz tą samą drogą, jak co dzień? Porwana lękiem Rachela wolałaby raczej oddalić się teraz. Niespokojna rzekła do swego towarzysza:

— Skryjmy się tam, gdzie ty się ukrywałeś. Niech nas nie zobaczy. Słuchaj, odezwiemy się do Niego, jeśli poczuję w sercu, że dobry jest... Jeśli milczeć będę, błagam cię, milcz także... Byłam szalona... Boję się teraz... Jak tu zimno...

Sara zaczęła mówić, starając się osłabić wrażenie oczekiwania. Mówiła, że przyszli z ciekawości bardzo zrozumiałej, że odejdą, jeśli Mistrz zbyt długo się nie zjawi. Lecz głos jej był zmieniony, chrapliwy, stłumiony wzruszeniem. Nadzieja, mimo woli, zabłysła w głębi jej serca a z nią przestrach możliwego rozczarowania. W cichości modliła się, aby Bóg oddalił życzenie szalone, pragnienie przeciwne Jego woli. Powtarzała bezustannie:

— Niech raczej Prorok nie idzie tą drogą, jeśli pozostawić ma po sobie jeszcze większy ból.

Lecz Prorok szedł...

Joel ujrzał Go zdala, otoczonego uczniami. Głosem zmieszanym rzekł:

— To On...

— Zamilcz, — błagała Rachela, — nie proś o nic.

Drżała na całem ciele. Zbladła śmiertelnie. Joel przytulił się do niej. Ukryci za drzewem figowem czekali.

Mistrz smutny i pełen powagi szedł drogą; był blisko nich, już miał ich minąć.

— Mistrzu, — rzekł jeden z uczniów; — patrz, oto drzewo figowe, na które rzuciłeś przekleństwo — uschło...

Zabrzmiał łagodny głos Jezusa z Nazaretu. Joel prawdę mówił, głos ten zabierał duszę, przenikał nawskroś. Na dźwięk pierwszych słów Rachela postąpiła naprzód. Pan mówił:

— Miejcie nadzieję w Bogu.

Wyciągnął rękę w stronę góry Oliwnej, której cedry ciemne rysowały się na tle jasności:

— Ktokolwiek powie górze tej: powstań i rzuć się w morze, i nie zawaha się na chwilę w sercu swem, lecz wierzyć będzie, że cokolwiek powie spełni się, zaprawdę tak się stanie.

Joel podniósł oczy, nie wiedząc, czy śni, i oczekując znaku. Rachela powstała. Podała naprzód biedną swą twarzyczkę w gorącej a niemej prośbie. A Pan dorzucił:

— O cokolwiek prosić będziecie wierzcie, że otrzymacie i spełni się wam.

Nie panując dłużej nad sobą, uniesiona miłością wdowa rzuciła się do nóg Mistrza, na skraju drogi. Nie rzekła słowa, lecz błagalnym ruchem rąk wskazała Panu niewidome dziecię, nie śmiejąc nawet wyrazić ani modlitwy ani nadziei, lękając się ciosu, gdyby Pan nie zechciał...

O słodyczy niewypowiedziana, jaka odmalowała się we wzroku Jezusa z Nazaretu, którym ogarnął dziecko i matkę. Uradowany Joel szepnął: „Widział cię!" Powoli Pan położył dłoń na zamkniętych oczach niewidomej. Pod dłonią tą Rachela przestała drżeć. Zachwyt przemienił jej twarz. Czekała nieruchoma, czując wstępującą w nią radość nadziemską...

Głos Mistrza odezwał się wszechmocny:

— Jeśli wierzysz, wszystko spełnić się może.

Rachela odpowiedziała:

— Wierzę, Panie.

Jeszcze chwilę Boska ręka Chrystusa spoczywała na czystem obliczu dziecka. Z radością nadziemską, wiara, poddanie się woli Boskiej, miłość zdawała się zrywać się w sercu Racheli, jak ptak. I myślała, że z rozkoszą pozostanie niewidomą przez całe życie, z tą dłonią spoczywającą na jej twarzy, dłonią, która wlewała światło wieczne...

Lecz Rachela miała być uzdrowioną. Pan chciał zerwać na drodze swej ten kwiat radości. Odjął dłoń swą wszechmocną. Wzrok kryształowy Racheli spoczął na Panu, na tem zjawisku niewysłowionej dobroci i piękna. I wówczas jeszcze Chrystus nie rzekł do matki: „Widziałem cię wczoraj". Nie rzekł do dziecka: „Oto zapłata, którą wracam twej matce".

Tylko, kiedy oddaliwszy się nieco, Jan ukochany spojrzał raz jeszcze na gromadkę rozpromienioną i słysząc błogosławieństwa, jakie szeptała wdowa, widząc Joela biegnącego ku Panu z najpiękniejszem jagnięciem na ramionach i widząc Rachelę pogrążoną w zachwycie, nie mogącą oderwać oczu od oddalającego się zwolna Jezusa, zapytał:

— Panie, cóż uczynili ci ludzie, aby Cię spotkać na drodze?

Wskazując na wdowę Pan odpowiedział:

— Dała mi w ubóstwie swem wszystko, co posiadała.

Żniwa.



Choć rok obecny jest mocno spóźniony, szybkim krokiem zbliżają się żniwa. Łany żyta z dniem każdym przybierają coraz bardziej barwę srebrzystą, a ciężkie ich kłosy zaczynają się chylić ku ziemi. Jak stwierdzają urzędowo w Warszawie, tegoroczne zbiory zboża zapowiadają się wcale pomyślnie, pomimo że wiosna była późna i chłodna. Jeżeli pogoda dopisze, to wkrótce zobaczymy wozy, napełnione ciężkiemi snopami, jak to widzimy na naszym obrazku, które będą zwoziły obfite zbiory do stodół i stodółek, aby tam zaczekać na cepy pracowitego rolnika, który wymłóci je i część ziarn rozsieje po polach, aby znowu rosły na pociechę ludzkości, a część powiezie do młyna, lub sam zmiele na żarnach, aby żywiły jego i jego rodzinę.

Czas żniw, to czas zbiorów i radości dla wieśniaka, ale czas ten jest zarazem czasem największych trosk, aby wyrośnięte zboże nie zrosło na pomieci lub w półkopkach, aby go przed zbiorem grad nie wytłukł, a po zbiorach, kiedy już jest w stodole, nie zniszczył pożar. Zbiera więc rolnik owoce swej pracy, ale i drży zarazem, by jeszcze w ostatniej chwili jakiś tragiczny wypadek nie zniszczył wszystkich owoców tej ciężkiej pracy.

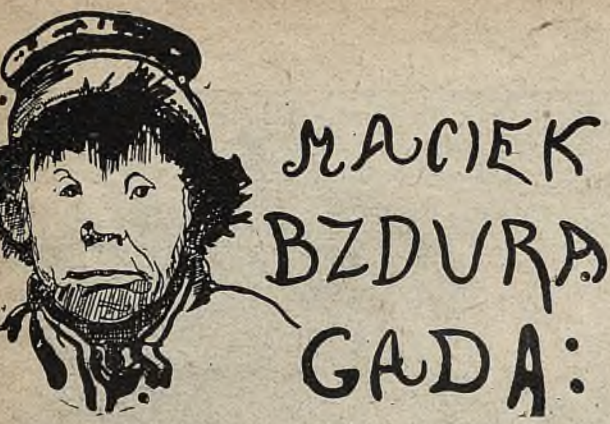


Rocznica zgonu Wita Stwosza.

Czterysta lat upływa w roku bieżącym, kiedy zmarł w Norymberdze jeden z najsławniejszych rzeźbiarzy polskich, Wit Stwosz. I jak to było z Kopernikiem i innymi wielkimi Polakami, Niemcy chcą sobie przywłaszczyć Stwosza, jako swego rodaka, a czynią to dlatego, że Stwosz urodził się i umarł w niemieckiem mieście Norymberdze. Stwosz jednak większą część swego życia przepędził w Polsce, a mianowicie w Krakowie, i tu wykonał najrozmaitsze arcydzieła swojej sztuki. Z pod jego to dłuta wyszedł wielki ołtarz w kościele Marjackim, którego podobiznę zamieszczamy obok, wyobrażający Zgon i Wniebowzięcie Najświętszej Marji Panny, nieporównane dzieło sztuki rzeźbiarskiej, wykończone z zdumiewającą misternością, godne podziwu, jakoż i podziwiane przez wszystkich, co zwiedzają Polskę. Prócz tego ołtarza jest jeszcze drugie arcydzieło rzeźbiarskie Wita Stwosza w Krakowie, a mianowicie grobowy pomnik króla Kazimierza Jagiellończyka w katedrze na Wawelu, wykuty w czarnym marmurze.

Około 1496 roku przeniósł się Wit Stwosz do Norymbergi, gdzie także pracami swego dłuta ozdobił kilka kościołów; ale gorzko musiał żałować, że opuścił Polskę i Kraków, bo w Norymberdze doznał ciężkiego prześladowania i niewiadomo dotąd, czy z własnej winy czy tylko z podstępu i zawiści nieprzyjaciół był uwięziony i srodze karany, co odbiło się dotkliwie na jego zdrowiu.

Umarł ten przesławny sztukmistrz jako znękany i zbolały starzec, dożywszy sędziwego wieku, bo niemal stu lat.



Są baby na świecie, co to swoich śturkaców nicem piesków na powrózku trzymają. A przecie wiadomo, ze kuzde bydlątko, cy ono ma styry, cy ino dwie nogi, jak jest uwiązane, to się chce z uwiązania urwać i nieco sobie pobrykać. Tak bywa casem i z mojem gospodarzem. Chłopisko to pocciwe, jak zreśtą wszyćkie chłopy na świecie, i moznaby ich do ropiącej się rany przyłozyć, gdyby na swoje i ludzkie utrapienie nie mieli baby. I to jesce takiej baby, której się widzi, ze swojego śturkaca bardziej miłuje od rodzonej jałówki, abo prosiaków w chlewie. A ta właśnie wielga miłość mojej gospodyni do mojego gospodarza gospodarzowi pępkiem wyłazi.

W tamtą niedzielę przyśli se gospodarz z parafjalnego kościółka po nabozeństwie do chałpy, pojedli jaką godzinkę darów Bozych i padają do gosposi:

— Słuchaj, Jaguś, i uwaz sobie to dobrze. Po połedniu będzies sama musiała dopilnować ogonów na paświsku, bom pastuchowi i Kaśce pozwolił pójść na niespór, a my z Maciejem pójdziewa do skoły, bo przyjechał tam jakiś surdutowiec z Krakowa i będzie opowiadał o tem, jak jest na świecie i co się gdzieindziej dzieje. Cłek siedzi cały rok w chałpie i ino na zarcie pracuje, to się przecie godzi posłuchać ludzi, którzy świat znają, a tem, co wiedzą, chcą się z inksemi podzielić.

Jacy ten mój gospodarz są pocciwi! Inksy toby babę sklął i spierunował, a oni takiej wiedźmie, jak moja gospodyni, a gospodarzowa baba, Jaguś gadają i to jesce tak słodziutko, co jaz się ckliwo na wymiącku robi. Pedziołbym ja im Jaguś, pedzioł, jakby tak pod moje rozkazywanie przyśli!...

Ale nie o to idzie. Ino to mój gospodarz pedzieli, jak wam kochana Jagusia, to jest niby baba mojego gospodarza, a moja gospodyni, na nich z gębą nie wsiędą, jak nie zacną ozorem obracać, tom myślał, ze wszyćka zwierzyna na całem świecie do imienia pogłuchnie.

— Ja ci dam skołę! — padają. — Ja ci dam zgromadzenie! Co ci po jakiemsik zgromadzeniu, aby ino cas poprózńicy tracić, a bidną niewiastę w tęśnicy i samotności na pośmiewisko ludzkie zostawiać. Ja wiem, jakie to ma być zgromadzenie! Pewnikiem zejdzie się tam takze parę lafirynd, co na chłopów będą ślipiami rzucały, a ześ sam niedojda, jak wiadomo, boś się ani jesce o jedno dziecko nie postarał, to se bierzes Maćka do pomocy, który, gdyby chciał, toby i w chałpie miał dość do roboty!

Takie gadanie mojej gosposi, choć mi tam nic do tego, oburzyło mnie bardzo, bom wiedział, ze poza gospodarzką robotą gospodarz nigdy do zadnej innej pomocy nie potrzebowali.

— Gosposiu! — powiadam. — Trzymajcie se język na powrózku, bo wam ucieknie i juz nigdy do wasej pascęki nie powróci! Nie liźcie na ludzką niewinność, kiedy jej sami nie macie. Cyście mnie to kiedy widzieli, abym ja naraz dwom abo więcej niewiastom zawracał gitarę, albo cyście widzieli, abym ja w takich rzecach choć raz gospodarzowi pomagał! Wicie dobrze z własnego doświadcenia, ze gospodarz jak chcą, to se i sami radę dadzą.

Ale ze to mój gospodarz w stosunku do własnej baby taki sam fujara, jak prawie wszyscy gospodarze, tak powiadają:

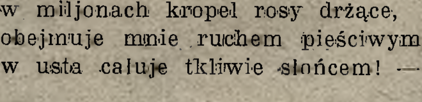
— Cichoj, Maciek, cichoj, bo jak się choroba wścieknie i to jej ani trąba archanielska, wzywająca ludzi na sąd ostatecny, nie uspokoi. A ty, Jaguś, się nie źlij i przyzwolenie swoje daj. Przecie tam będzie duzo ludzi, to mi zadna dziewucha nic złego nie zrobi. Zejdą się ludzie, posłuchają, pogadają, a potem z większemi siłami jesce do domów się rozejdą i będzie wszyćko, jak potrza. Cłek jak cięgiem siedzi w chałpie i własnej baby pilnuje, to o nicem nie wie, co, jak i gdzie się dzieje.

— Cie go! — padają gospodyni na to. — Jemu się chce wiedzieć, co i jak się gdzie dzieje! A swego ci nie dosyć. Juz jakby trza było iść na naukę, to ja jestem na wszyćko pojętniejsa i prędzejbym co wskórała. Ale wiem ja ta, jaka to będzie nauka.

Jak się baba w cem uprze, to choćby ją przekonywało sto świętych Janów Złotoustych, toby jej nie przekonali. A ze mój gospodarz jesce nie są ani święci, ani złotouści, więc tez umiłowanej Jagusi więcej nie przekonywali, ale nacisnęli capę na głowę, kiwnęli na mnie głową i pośli do skoły.

Co tam w skole było, to do rzecy nie nalezy. Jedno ino wypada powiedzieć, ze gospodarz bez cały cas myśleli o tem, co jem gospodyni powiedzieli, to jest, ze oprócz rodzonej baby są jesce na świecie inkse niewiasty i jakby tak kto chciał, toby mógł z niemi przygrzysyć. Raz podsunięta myśl przez gosposię, nie dawała jem spokoju. Myśleli i myśleli tak bardzo, ze całkiem o mnie zapomnieli. Wróciłem sam do chałpy, aby pociesyć gospodynię, bo gospodarz nadeśli dopiro dobrze po północku.

A z tego jest taka nauka, ze baba z wielkiej miłości potrafi własnego śturkaca sprowadzić nie tam, gdzieby chciała i utrudnić mu powrót do chałpy we wałściwym casie.





Rano wiejskie.

Roześmiane i rozśpiewane rano
wpada beztrosko przez okna pokoju
i rzuca we mnie gamami: — barw,
uczuć, myśli i nowych nastrojów. —

Roztańczone w podmuchach wiatru,
w miljonach kropel rosy drżące,
obejmuje mnie ruchem pieściwym, —
w usta całuje tkliwie słońcem! —

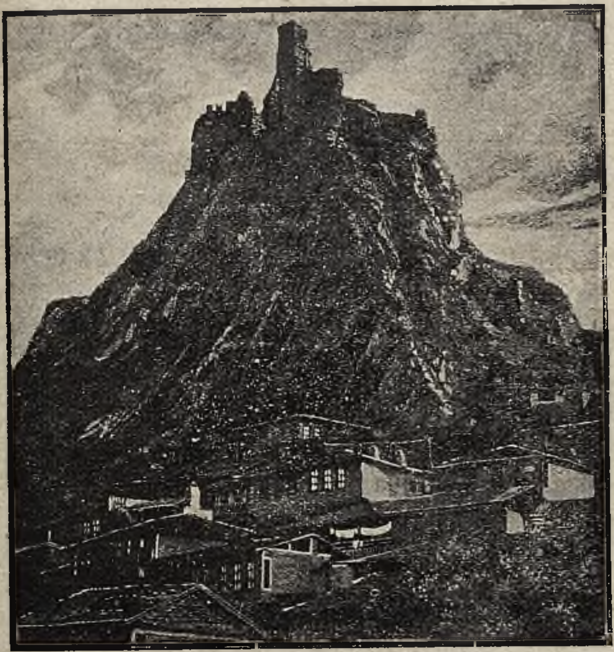
Wdziera się w moją duszę,
w mego serca zawisa tętnie
i gra mi silnie pieśń Życia, —
pieśń wolną od rozsmętnień. — —

Antoni Olcha.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Mała Ażja II.

Właściwą kolebką wszelkiej cywilizacji jest Azja. Pierwszeństwo pod tym względem uzyskała Europa dopiero w znacznie późniejszych czasach,



Stara cytadela w Tokacie.

kiedyto Grecy i Rzymianie wybili się na czoło całego świata i wszystkich narodów.

Najstarsi mieszkańcy Azji zachodniej, a więc i Małej Azji, o których doszły nas wieści, to Sumerowie, lud nieznanego pochodzenia; w czasach, o których zaczynają się nasze wiadomości, zamieszkiwali południową Babilonję nad Eufratem i Tygrysem. Ich to musimy uważać za twórców kultury babilońskiej; oni wynaleźli pismo klinowe — i to jedno mówi wyraźniej, niż wszystko, o wysokim stopniu ich kultury.



Mieszkańcy z Angory

Posiadane przez nas napisy i teksty religijne pochodzą z czasów późniejszych, ale pisane są w języku sumeryjskim i dowodzą, że najezdnicze ludy koczowników przejęły, zużytkowały i rozwijały dalej stary dorobek kulturalny, nie umiejąc mu przeciwstawić nic równoznacznego. Ta kultura promieniowała na wschód aż do kotliny Tarymu, na południowy-zachód do Egiptu. Ale losy jej, jak wszelkiej rozkwitłej na oazie kultury — a za taką oazę musimy uważać dolinę Eufratu i Tygrysu — były niepewne; ciągłe najazdy koczowniczych ludów stepowych, niejednokrotnie hamowały jej rozwój.

Z północnej Babilonji zostali Sumerowie wyparci przez semickie szczepy Akkadów, poczem przechodziły inne szczepy, aż wreszcie znaczną częścią Azji zachodnią, a z nią i Azją Małą zawładnęli wyznawcy półksiężyca.

W Azji Mniejszej Osman I, połączywszy hordy swych Turkmenów, rozsiane dookoła Angory, z innemi szczepami tureckiemi, założył państwo Osmanów, które dalej niszczyło pozostałości wschodniej kultury, ale samo zostało zahamowane w swym rozwoju przez nowe najście Mongołów. Pod wodzą Timur-Lenka, który usiłował odbudować państwo Dżyngis-Chana, pociągnęli Mongołowie do Azji zachodniej. Obszar Indu, Persja, Syrja, Mała Azja zostały podbite, a Bagdad został zupełnie zburzony. Ze śmiercią Timura w roku 1405 rozpadło się to nowe państwo Mongołów; Osmanowie wrócili do władzy i przedostali się do Europy, zajmując w roku 1453 Konstantynopol. Przyswoiwszy sobie państwowe urządzenia Bizancjum, państwo Osmanów stało się europejską potęgą, prącą do nowych podbojów. I niewiadomo, jakby się to było wszystko skończyło, gdyby nie odsiecz Wiedna w roku 1683, dokonana przez króla polskiego, Jana III Sobieskiego, i nie pogrom ich, jakiego ten bohaterski król dokonał.

Jak wiadomo, Azja jest największą częścią świata i w niej też mieszka największa ilość ludzi. Nazwa jej pochodzi prawdopodobnie od asyryjskiego słowa „asu" — wschód słońca, lub wschód i była używana w starożytności na oznaczenie Azji Mniejszej. Powoli i stopniowo objęto tą nazwą obszary lądowe, rozciągające się dalej ku wschodowi i północnemu wschodowi. Pojęciem przeciwnem było słowo „erep" — Europa, pod którą to nazwą rozumiano kraje, leżące na zachodzie. W nowoczesnej geografji Europa jest uważana za część Azji, za zachodnie jej odgałęzienie, półwysep największego kontynentu; Azja i Europa razem w geografji tej nazywają się Eurazją. Już w czasach starożytnych byli geografowi przeciwni temu ogólnie utartemu podziałowi, który usprawiedliwiała atoli swoista, wysoko rozwinięta kultura Europy i który jest w geografji bardzo silnie zakorzeniony.

Mała Azja i wogóle obszary, położone w pobliżu morza Czarnego, były już w starożytności dobrze znane dzięki kolonizacji greckiej. Wyprawa Aleksandra Wielkiego posunęła daleko naprzód wiedzę europejską. Pochód na Indje miał zarazem znacze-

nie wyprawy odkrywczej. Najważniejszem źródłem wiadomości dla czasów późniejszych był opis podróży Wenecjanina, Marco Polo (1254—1323), który prócz Persji, Armenji i Cejlonu zwiedził Azję środkową, Chiny, Japonję i wyspy Sundajskie. Na dobre wyszło też Europie zamknięcie lądowych dróg handlowych przez Turków, gdyż pociągnęło to za sobą odkrycie drogi morskiej z Europy do Indyj.

Ludy europejskie, poznawszy przynamniej w teorji Azję, rzuciły się na opanowanie jej fizyczne. Pierwszą potęgą kolonjalną w Azji byli Portugalczycy, za nimi poszli Hiszpanie, a później Holendrzy. Pierwsze kroki Anglików do utworzenia kolonji w Azji przypadają na rok 1600. Rosja zaczęła zdobywać ziemie w Azji przy końcu XVI wieku dzięki prywatnej przedsiębiorczości rodziny handlarzy futrami, na zlecenie której hetman kozacki Jermak podbił leżące za Uralem pograniczne obszary. Około 1639 roku podbój Syberji był dokonany.

Na zakończenie dzisiejszej pogadanki podajemy dwa obrazki, z których pierwszy przedstawia starą cytadelę w Tokacie w Małej Azji, zaś drugi mieszkańców Angory, obecnej stolicy Turcji.

(Ciąg dalszy nastąpi).

J. MOKRZYCKI.

TRUCICIELKI.

Powieść kryminalna z 18 stulecia.

(Ciąg dalszy). (Przedruk wzbroniony).

Kobiety nie zdawały sobie sprawy z położenia, lecz Tomek, który podczas podróży do Nowego Jorku i obecnie poduczył się trochę żeglarstwa, rozumiał to dobrze i kobiety o tem objaśnił, dodając oczywiście, że nie potrzebują się obawiać, albowiem ludziom żadne nie grozi niebezpieczeństwo.

Ewelina nawet mocno się ucieszyła na wiadomość, że płyną ku brzegom afrykańskim, szczerą bowiem oddawna miała ochotę zwiedzić te puszcze i dżungle, o których tyle od podróżników się nasłuchała.

Irena przeciwnie ubolewała bardzo nad tem, że oddalają się od brzegów Europy, a ona chciała jak najprędzej dostać się do Fallenburga, by wreszcie po tak długiej rozłące ze swym mężem ponownie się połączyć i już nie odejść od niego więcej — nigdy, nigdy.

Tymczasem okręt gnał i gnał wciąż naprzód, przybierając stopniowo na szybkości, gdyż wiatr zamiast ustawać, wzmagał się jeszcze. Mijał dzień za dniem, a okręt pędził wciąż w jednym i tym samym kierunku, ile jednakże robił węzłów na godzinę lub pod jakim stopniem geograficznym się znajdował, trudno było stwierdzić z powodu zupełnego zniszczenia potrzebnych do tego przyrządów. Nie wiedziano więc zupełnie, jak daleko od lądu się znajdują. W tem położeniu wrazie zmiany kierunku wiatru istniała możliwość nawet dłuższego błądzenia po pełnem morzu, w czasie którego mogły się wyczerpać zapasy żywności i słodkiej wody, a wówczas groziłaby wszystkim nieuchronna zguba. To też kapitan od świtu do zmroku stał oparty o barjerę z lunetą w ręku, wypatrując, czy się gdzie na krańcu horyzontu nie ukaże ziemia lub przynajmniej jakiś okręt, mogący dać im pomoc. Lecz dnie upływały, a na niezmierzonej przestrzeni oceanu nic a nic się nie pokazało.

Nocą również majtkowie trzymali kolejno straż na pokładzie, wypatrując światła lub innego jakiegoś znaku, po którym mogliby poznać obecność lądu, lub jakiegoś okrętu.

Wreszcie pewnego dnia, a było to o wschodzie słońca, stojący na pokładzie majtek krzyknął:

— Ziemia! ziemia!

Co żyło, wybiegło na to wołanie. Tłocząc się koło majtka, spoglądano we wskazanym przez niego kierunku. Na krańcu horyzontu w miejscu, gdzie skłon nieba dotyka powierzchni oceanu, widniał sinawy pasek, coś niby mała podłużna chmurka. Okręt pędził wciąż z tą samą szybkością w tym kierunku.

Mały z początku pasek rósł w miarę zbliżania się okrętu wydłużał się coraz więcej, aż około wieczora zarysowały się wyraźnie góry na tle błękitu nieba. Bieg okrętu nie ustawał ani na chwilę.

Płynąc wciąż z tą samą szybkością, musielibyśmy w ciągu nocy dobić do lądu. Była to okoliczność mniej pomyślna, albowiem w ciągu dnia można było wrazie niebezpieczeństwa łatwiej się ratować. Nie było prawie wątpliwości, iż okręt musi, o ile nie trafi wpierw na mieliznę, rozbić się o skały przybrzeżne, lub wpadnie na podwodną rafę.

Przygotowano zatem szalupy oraz pasy ratunkowe i z biciem serca oczekiwano na to, co miało nieuchronnie nastąpić. Nikt tej nocy oka nie zmrużył, godziny dłużyły się niezmiernie. Wreszcie i noc poczynała ustępować nagle, jak zwyczajnie pod równikiem. Z brzaskiem zarysowały się wyraźnie pobrzeżne skały odległe nie więcej dwu mil angielskich.

Z chwilą, gdy ogromna tarcza słoneczna wytoczyła się na widnokręg, okręt wstrząsnął się straszliwie, równocześnie dał się słyszeć okropny zgrzyt i trzask łamanych burt. Okręt przechylił się i legł prawie na bok, a woda strumieniami poczęła wdzierać się do wnętrza. Na pokładzie dał się słyszeć głos kapitana:

— Do szalup! Do szalup!

W mgnieniu oka spuszczono dwie duże szalupy, do których tłumnie rzucili się majtkowie i podróżni. Tomek pchał się również, robiąc miejsce kobietom, lecz nim dobił się do łodzi, już były przepełnione. Wówczas, nie namyślając się długo, odwiązał znajdujące się jeszcze małe czółno, spuścił je na wodę, wsadził do niego kobiety, poczem skoczył sam, ujął za wiosło i skierował się prosto do brzegu. Nie upłynął jednakże daleko, gdy dostał się na prąd, który począł go unosić z powrotem na pełne morze.

Zaczął robić wiosłem z całych sił, chcąc się z prądu wydostać, gdy nagle nadwątlone z powodu starości wiosło, pękło mu w ręku, a czółno porwane silnym prądem, pomknęło z niesłychaną szybkością na pełne morze. Tomek rzucił się na dno czółna i rwał sobie z rozpaczy włosy na głowie; kobiety siedziały oniemiałe z przerażenia, patrząc tęsknie na coraz bardziej znikające kontury lądu.

Do wieczora oddalony ląd wyglądał już jak ciemny pasek. Z nadejściem zmroku zniknęło wszystko, a małe wątłe czółenko, unoszone prądem, kołysało się na bezbrzeżnem morzu.

Zmęczeni śmiertelnie rozbitkowie posnęli wkrótce mimo wiszącej nad nimi grozy. Dopiero wyłaniające się o poranku z morskiej toni słońce rozbudziło ich na nowo do życia.

Jak okiem sięgnąć, nie widać było nic, jeno wokolusieńko błękit nieba zlewał się z szafirową tonią

wód. Lśniące fale kołysały się leciuchno, taksamo jak wówczas, gdy opuszczano na holenderskim okręcie port nowojorski.

XV.

Słońce, jak zwyczajnie pod równikiem, rzucało prawie prostopadle piekące promienie, jakgdyby rozżarzone węgle ktoś z nieba wysypywał. Czółenko kołysało się na falach, a w nim troje rozbitków, wyczerpanych zupełnie z głodu i pragnienia. Już trzeci dzień



Prąd począł go unosić z powrotem na pełne morze.

błąkali się po niezmierzonej przestrzeni wód, zdani zupełnie na łaskę losu, bez środków żywności, bez jednej kropli słodkiej wody.

Prąd, który ich unosił, skończył się już dawno. Teraz czółno zaledwie poruszało się leniwie pod wpływem słabego północno-zachodniego wietrzyku. Nadaremnie wyglądali ukazania się na horyzoncie jakiego okrętu, który mógłby ich uratować. W milczeniu przygotowywali się na śmierć, która nieubłaganie wyciągała po nich swe kościste ramiona.

— Dlaczegóżem nieszczęsny nie pozostał na tonącym okręcie — narzekał Tomek — byłby kapitan z pewnością kazał zawrócić z szalupą, aby nas zabrać. Jam to jest winien, że nie dojedziemy do swego kraju. Jam jest winien waszej śmierci.

— Nie ty jesteś winien, drogi przyjacielu — odrzekła Irena — lecz los nasz nieszczęsny winien. Ty chciałeś uczynić dobrze. Ty nie jesteś zatem winnym. Trudno! Trzeba się poddać woli Opatrzności, a ja ufam, że Bóg nas nie opuści.

— On jeden może nas ocalić! — potwierdził Tomek, jakkolwiek sam w to wątpił, albowiem nie wierzył w istnienie cudu. Nie chciał jednak w Irenie osłabiać wiary, sądząc, że lepiej tak będzie.

Tymczasem dało się odczuć silniejsze uderzenie wiatru. Czółno poruszyło się, zakołysało i raźniej posunęło po falach. Straszliwy żar słoneczny ustąpił pod wpływem wiatru, a także zbliżającego się wieczora. Czółno dostało się znowu na jakiś prąd i z lekkiemi drgnieniami sunęło z wielką szybkością.

Powoli słońce zatonęło w morzu, zaczął zapadać szybko zmierzch otulając ciemną zasłoną złocistą zorzę, która na falach prześlicznie się odbijała, mieniąc się w różne kolory. Na niebo wysypały się miljony gwiazd, kąpiąc swe srebrzyste promyki w czystych wodach oceanu. Cisza panowała niezmierzona, przerywana tylko od czasu do czasu lekkiemi pluskami fal.

Rozbitków ogarnęła senność. Najpierw Tomek, który od czasu porwania czółna przez prąd stał się na wszystko obojętny i apatyczny, rzucił się na dno i wkrótce począł chrapać, następnie kobiety, przytuliwszy się do siebie w przedniej części czółna, trzymając się w uściskach, posnęły. A dookoła pluskały tylko ryby, jakgdyby straż nad jego bezpieczeństwem trzymały.

Wreszcie powstawał dzień. Irena zbudziła się, lecz z zamkniętemi oczyma pozostawała jeszcze w półśnie. Chłodny, przyjemny wietrzyk muskał ją łagodnie po twarzy, do uszu dochodził nieustanny, jednostajny plusk wody, oraz szum drzew i cudowny świergot ptaków.

Z początku pewną była, iż znajduje się ze swemi gąskami nad stawem w Fallenburgu, nad którym szumią okalające go drzewa, gdzie wśród gałęzi snują się chmury ptactwa, napełniając świat radosnym świergotem. Wreszcie otwarła oczy... i o cudo!

Oto, nad nią uginają się zielone gałęzie jakichś nieznanych jej drzew, wśród których aż roi się od ptactwa, a tuż obok, o jakie trzydzieści metrów, z niezbyt wysokiej skały z pluskiem spływa strumyczek czystej krynicznej wody.

— O Boże! jakże jesteś dobry! — zawołała radośnie.

Na ten głos zerwali się wszyscy i zdziwionemi oczami spoglądali wokoło. Znajdowali się w maleńkiej uroczej zatoce o bardzo łagodnie wznoszących się brzegach, zarośniętych gęsto bambusami, palmaoraz innymi, nieznanego bliżej gatunku drzewami. Od południowej strony rozciągał się widok na morze. Czółno stało w miejscu, bardzo płytkiem, gdzie piaszczyste dno dało się widzieć nie głębiej jednego metra.

Wszyscy wyskoczyli momentalnie z czółna i rzucili się do pluskającej ze skały wody, następnie Tomek obejrzał się za zdobyciem jakichś środków żywności, gdyż od chwili opuszczenia okrętu nic jeszcze w ustach nie mieli. O żywność też trudno tu nie było. Wnet zauważył drzewo chlebowe o dużych, jak melony, owocach i wnet zgłodniali urządzili sobie ucztę, poczem, ukląknąwszy, dziękowali Bogu za ocalenie.

Nabrawszy sił, ruszyli na pobliski wzgórek, z którego mogli się w okolicy rozejrzeć. Nie wiedzieli, czy znajdują się na wyspie, czy na lądzie stałym, taksamo nie mieli pojęcia, czy okolica jest zamieszkała, czy też pusta.

Wszedłszy na wzgórze, skonstatowali wnet, że znajdują się z pewnością na lądzie stałym, gdyż zobaczyli przed sobą rozległą równinę, zaledwie lekko pofalowaną, zarośniętą niską krzewiną i wrzosem, tylko gdzieniegdzie wystrzelały palmy daktylowe, snać w pobliżu źródeł. Od strony morza ciągnęły się piaszczyste, żółte, nagie prawie wybrzeża, a zatoczka, do której wpłynęli, stanowiła jedną jedyną kępę, która na kilkumilowej przestrzeni samotnie zieleniała. Osad, zabudowań, ani nawet śladów ludzkich, jak daleko okiem sięgnąć, nie było widać. Na rozległych wrzosowiskach pasły się stada antylop, żyraf oraz różnego innego zwierza. Na stronie wschodniej widniało tylko ciemne pasmo gór, lecz tak odległe, że wyglądało zaledwie jak ciemno-sina podłużna chmurka.

— Ach, jaki rozległy stąd widok! — zachwycała się Ewelina. — To z pewnością dżungla, owa sławna dżungla afrykańska. Ot — patrzcie, co tam różnego zwierza! Tak, to z pewnością Afryka!

Tomka jednakże zupełnie nie pocieszał widok dżungli. Wolał byłby zobaczyć przed sobą miasto, czy inną jakąś osadę ludzką, w której nawet w braku środków łatwiej można życie utrzymać, niżeli w pustej dżungli, pełnej dzikiego może nawet drapieżnego się brzegach, zarośniętych gęsto bambusami, palmami, dziennego życia niezbędne były.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Książę Mikołaj w Warszawie.

Brat króla rumuńskiego, książe Mikołaj, jest zapalonym lotnikiem, to też często odbywa podróże powietrzne w różne strony świata. Obecnie przedsięwziął taką podróż dookoła Europy, a w drodze swej bawił przez krótki czas również w Warszawie, przyjmowany przez nasze władze i ludność nadzwyczaj serdecznie. Na obrazku naszym widzimy księcia Mikołaja w stroju lotnika bezpośrednio po wyjściu z samolotu w Warszawie. Po prawej jego stronie stoi polski minister spraw zagranicznych, Beck Po złożeniu wizyt polskim dostojnikom ks. Mikołaj ruszył dalej w podróż.

Jedynak.

W jednem z większych miast prowincjonalnych mieszkał kowal Andrzej Gorzyński. Miał kuźnię, przy niej ładny domek z ogródkiem, a chociaż osiadł na bocznej, małej uliczce, to jednak miał więcej do roboty, niż inni kowale. Wszyscy lubili i szanowali trzeźwego, rzetelnego i pilnego Andrzeja i najchętniej do niego z robotą chodzili. Każdy wiedział, że co on zrobi, to jest dobre, koń podkuty przez niego nie gubił podkowy i na okutych przez niego wózkach można było lata całe jeździć.

Andrzej dobrym i uczciwym był człowiekiem — jedną tylko miał wadę, a tą była wielka słabość charakteru w pożyciu małżeńskiem. Śmiali się ludzie z niego, że żona ma go pod pantoflem, ale też doprawdy — on woli własnej nie miał i panem był tylko w kuźni. Że zaś żona jego była złośnicą i bardzo kłótliwą, przeto on, lubiący spokój, ustępował jej we wszystkiem i nie przewidywał smutnych skutków swego niedołęstwa.

Andrzejowa była zresztą dobrą gospodynią, oszczędną, porządną, lecz wszyscy lękali się jej ostrego języka i niezmiernej złości.

Mieli też Andrzejowie synka, ośmioletniego Tomka, sprytnego i nad wiek rozwiniętego chłopca. Wychowany inaczej, byłby wyrósł Tomek na dzielnego człowieka, ale matka, zaślepiona w ukochanym jedynaku, kierowała nim jak najgorzej. Tomek męczył ptaszki, zabijał kamieniami żaby, obrywał motylkom skrzydełka, a matka cieszyła się z tego i chwaliła przed sąsiadkami.

— Moja pani, — rzekła jej raz żona ślusarza Dorewskiego, wychowująca dzieci, jak się należy, — źle z waszej strony, że na takie rzeczy pozwalacie. Jeżeli on teraz już męczy i zabija niewinne zwierzęta, to później będzie pewnie ludzi męczył i zabijał!

— Patrzcie na swoje dzieci, — krzyknęła Andrzejowa rozłoszczona, — nie troszcie się o mojego chłopca. Ja nie jestem taką złą matką jak wy, która o byleco dzieci bije i karze! Ja kocham mego Tomka!

Ślusarka umilkła i nigdy już nie zaczynała rozmowy o wychowaniu dzieci.

Tomek wyrastał na pięknego chłopca, lecz charakter jego i serce stawały się z każdym dniem gorsze. Kłamał, oszukiwał kogo mógł i zaczął nawet przywłaszczać sobie rzeczy, które cudzą były własnością. A matka śmiała się głośno, gdy mu się udało wyciągnąć komu niepostrzeżenie chustkę z kieszeni i nazywała to niezmierną zręcznością.

Raz posunął się Tomek tak daleko, że wyjął z obrazu Matki Boskiej ładną, świecącą szpilkę, którą jakaś nabożna kobieta przypięła pęk kwiatów. Nikt tego nie zauważył, i Tomek był dumny z swego czynu.

Ale gdy ojciec spostrzegł ową szpilkę i gdy zapytał dosyć ostro, skąd ją ma, zląkł się niegodziwy chłopiec jednak i odpowiedział, że znalazł ją na ulicy.

Ojciec poznał natychmiast, że chłopiec kłamie.

— Słuchaj, Tomku, — krzyknął groźnie, — powiedz zaraz prawdę, skąd masz tę szpilkę! Czyś ty jej nie ukradł?

— Jak możesz posądzać własne dziecko o złodziejstwo! — uniosła się matka. — Czy ty masz Boga w sercu!

A gdy się jednak wydało, że Tomek szpilkę ukradł, uniewinniała go matka tem, że szpileczka mała, nic nie warta i że niema o czem mówić. Złodziejstwo więc nie zostało ukarane i Tomek śmielszy już znacznie, broił złe dalej i dalej. Matka złego nie powiedziała mu słowa, ojciec zaś o niczem nie wiedział.

Ale gdy raz przyszedł policjant po Tomka, który razem z innymi chłopcami okradł cukiernika, wtedy upadł Andrzej na ziemię, jak piorunem rażony, a matka zaczęła krzyczeć i przeklinać policjanta, twierdząc, że syn jej niewinny. Jako małoletniego nie mogli Tomka zamknąć w więzieniu — zagrożono mu więc tylko na przyszły raz większą karą i pozwolono mu znów wrócić do domu.

Że Tomek został złodziejem, to była jedynie wina matki, kochała go bardzo, lecz nie przewidywała zguby swego dziecka. Od czasu, jak Tomek poważył się wziąść z świętego obrazu, brnął coraz głębiej w kałuży występków, matka zaś go pieściła i uniewinniała.

Mając lat ośmnaście ukradł Tomek sąsiadowi znaczną sumę pieniędzy i uciekł. Z płaczem szukała go wszędzie matka, ojciec zaś nie śmiał się ludziom z wstydu pokazywać.

Po upływie sześciu lat wezwano Andrzeja do więzienia, do sporządzenia kajdan, które jeden z więźniów chciał zerwać i zepsuł..

Andrzej poszedł, i nie patrząc na więźnia, skuł łańcuch, którym nogi nieszczęśliwego otoczone były.

— Tych, łotrze, nie zerwiesz, — rzekł. — te skuł Andrzej Gorzyński!

W tejże chwili spojrzał na twarz więźnia i z strasznym krzykiem rozpaczy, zerwał się, jak szalony.

Więźniem był Tomek, syn jego...

Trudno opisać, co się działo w sercu nieszczęśliwego ojca.

Gdy się matka o wszystkiem dowiedziała, pobiegła do więzienia i zażądała widzenia się z synem.

— Coś ty zrobił, Tomku! — jękła, zalewając się łzami.

— To, czegoście mnie matko nauczyli, — odrzekł zuchwale. — Czemuście mnie nie karali, póki był czas? czemu nie oduczyliście mnie złodziejstwa?

Zapóźno poznała matka zło, którego sama była powodem, zapóźno poznała. że wychowała jedynaka na własną swoją hańbę.

Andrzej niedługo przeżył wstyd okrutny, zadany mu przez syna, umarł kilka tygodni później, żałowany szczerze przez wszystkich znajomych.

Żona jego musiała natomiast wypić kielich goryczy aż do dna.

Krajowe zioła lecznicze i ich zastosowanie w chorobach ludzkich i zwierzęcych

Nostrzyk lekarski *(Melilotus officinalis)*. Rośnie na łąkach, miedzach, drogach. Dochodzi do 90 cm. wysokości. Łodyga prosta, liście złożone z trzech listków ząbkowanych, kwiaty drobne, żółte, skupione w grona. Smak słonawo gorzki, zapach miodu.



Wewnętrznie używa się herbaty z ziela, w bardzo małych dawkach w zaflegmieniach i nieżytach. Głównie służy do użytku zewnętrznego do zmywań i okładów, przeciw obrzękom, powiększonym gruczołom i t. p.

Nostrzyk odgrywa ważną rolę jako roślina pastewna, zazwyczaj dodawana do trawy i koniczyny. Pszczoły zbierają z niej miód obficie.

Dr med. *Stanisław Breyer*, Kraków, Wolska 36.

Poradnik gospodarczy.

O doborze zwierząt do chowu.

Już w czasach bardzo dawnych dobrze wiedziano, że potomstwo oddziedzicza po rodzicach maść, zalety i kształty ciała, wybierano przeto do chowu najlepsze i najpiękniejsze zwierzęta.

Najważniejszym warunkiem przy doborze rodziców jest ich zdrowie, bo tylko ze zdrowych rodziców można mieć zdrowe potomstwo. Zwierzę jest zdrowe, jeżeli dobrze wygląda, chętnie je, oddaje kał i moczy regularnie, oddycha swobodnie, zwraca na wszystko uwagę, ma oko czyste i niełzawiące, po pastwisku chodzi swobodnie, sierść ma do ciała przylegającą. Tem więcej należy przy doborze zwierząt uważać na ich zdrowie, że nietylko zdrowie, maść, zalety i piękne kształty ciała są dziedziczne, ale też i wady, choroby i przywary udzielają się potomstwu.

Znane jest polskie przysłowie: „Jakie drzewo, taki klin, jaki ojciec, taki syn, jakie drzewo, taka kora, jaka matka, taka córa". Przysłowie to jest bardzo trafne, bo z doświadczenia wiadomo, że naprzykład po rodzicach chorych na gruźlicę czyli suchoty, na ślepotę miesięczną, epilepsję, na narośle kostne, potomstwo prędzej czy później zapada na tesame choroby.

Po koniach o cienkich nogach, niezdolnych do cięższej pracy i niewytrzymałych, po krowach, z których mamy mało mleka, po zwierzętach złośliwych, spodziewać się możnna u potomstwa tych samych wad i przywar.

Pamiętajmy więc przy wyborze zwierząt do chowu, aby były zupełnie zdrowe, aby były dobrze zbudowane, rozwinięte i nie miały żadnych wad, unikniemy przez to wielu strat i nie będziemy narzekać, że się nam zwierzęta nie darzą.

Wystrzegajmy się ogierów i buhaji za młodych, bo jeszcze nie są dobrze rozwinięte.

Po wsiach widzimy u niektórych gospodarzy krowy rosłe i mleczne; ludzie mówią, że to tylko im się darzy, a innym nie. A dlaczego im się dobrze darzy? Dlatego, bo starają się o swoje bydło, bo prowadzą krowy do buhaji dorodnych i zdrowych.

Znajdują się wprawdzie po wsiach ogierki, ale jakie? Małe, dwuletnie, czasem i młodsze. Do takich klaczy nie prowadźmy, bo źrebięta po nich będą słabe, karłowate, a z nich dobrej klaczy, ani dobrego konia nikt się nie dochowa. Utrzymanie dobrego ogiera dużo kosztuje, bo jeżeli po nim mają być do-

bre źrebięta, nie wolno go używać do ciężkich robót. Nie każdy więc może chować takiego ogiera, mogą sobie na to pozwolić tylko duże dwory i tam tylko należy klacze doprowadzać.

Taksamo co do krów i buhaji. Do chowu należy przeznaczać tylko cielęta od krów mlecznych, zdrowych, okazałych, a nigdy od herlaków, a doprowadzać je do buhaji silnych, starszych i posiadających wszelkie zalety. Jeżeliby ktoś przypadkowo otrzymał cielę od krowy dorodnej, ale po buhaju mizeraku, niech nigdy nie trzyma takiego cielęcia na dalszą hodowlę, gdyż nie będzie miał z niego krowy okazałej, zdrowej i mlecznej.

Niestety, u nas zdarza się często, iż gospodarze nie zważają na dobór ogierów i buhaji, ale pędzą tam klacze i krowy, gdzie im to taniej wypadnie. Oszczędność kilkudziesięciu groszy przysporzy im w przyszłości strat na dziesiątki złotych. Dobra jest oszczędność, ale w tym wypadku nie trzeba oszczędzać, ale uważać na dobór jednostki rozpłodowej.

KRONIKA.

Wejście w życie nowej ustawy samorządowej. We czwartek 12 b. m. weszła w życie nowa ustawa samorządowa, wskutek czego wybory do nowych rad gminnych będą się mogły odbyć w najbliższym czasie. Stosowne zarządzenia powinny wydać władze w najbliższych dniach.

Nagła zwyżka cen zboża. W ubiegłym tygodniu ceny zbóż poszły nagle w górę. Specjalnie zwyżkowała cena żyta, dochodząc do 25 złotych za 100 kilo. Również podniosła się cena pszenicy o 4 złote, tak, że płacono za nią 43 złote. Cena zbóż poszła w górę nietylko u nas, ale na wszystkich rynkach europejskich i amerykańskich. Zboże po wyższej cenie zakupują przeważnie wielkie młyny do przemiału. Na zwyżkę tę wpłynęła w znacznym stopniu zła pogoda w czerwcu i w początkach lipca, a wskutek tego znaczne opóźnienie żniw.

Niepogoda a piwo. Wskutek złej pogody i chłodów, jakie panowały u nas niemal przez całą wiosnę i w pierwszych dniach lipca, spadła znacznie konsumpcja piwa w całym kraju aż o 25%. I tak w pierwszym półroczu 1932 wypito w Polsce 671 tysięcy hektolitrów, a w bieżącym roku zaledwie 503 tysiące hektolitrów.

Skon najstarszego kapłana w djecezji tarnowskiej. W Binarowej w powiecie gorlickim zmarł ks. Jakób Białas, który był najstarszym kapłanem w djecezji tarnowskiej, liczył bowiem w chwili śmierci 91 lat życia, a 65 kapłaństwa. Proboszczem w Binarowej był od roku 1875.

Okradzenie ks. wikarego. Do księdza wikarego Ryszka w Łososinie Górnej przyjechała furka, prosząc, aby ksiądz udzielił pociechy religijnej choremu Duchnikowi z sąsiedniej wioski Piekiełko. Mimo że wioska ta należała do innej parafji, dobroczynny ksiądz zebrał się i pojechał, choć mu się wydawało podejrzanem, że woźnica oświadczył księdzu, aby nie zabierał ze sobą Sakramentów św. Gdy ksiądz przybył na miejsce, napotkał wielką niechęć ze strony chorego, który oznajmił, że nie ma żadnej ochoty wyspowiadać się. Nic nie wskórawszy, wsiadł ksiądz z powrotem na furę i przyjechał do domu. Tutaj czekała go przykra niespodzianka, gdyż z przerażeniem zauważył, że znikło jego drogie futro i cenniejsze rzeczy z mieszkania. Wyskoczył na pole, lecz woźnicy z końmi już nie było. Szkoda wynosi około 600 zł.

Tragedja rodzinna. Okropną tragedję przeżyła mieszkająca w Równem w powiecie krośnieńskim rodzina Patlaków, złożona z 4 osób: matki, dwóch synów i córki. Piotr Patlak przed dwoma jeszcze laty zaręczył się z Bronisławą Szczepaniakówną z tej samej wsi, ale obecnie zerwał z nią, twierdząc, że ma za wielkie wymagania. Ale dziewczyna chciała być koniecznie panią Patlakową, więc jeżeli nie może być Piotr, niechże będzie Paweł, młodszy jego brat. Rozkochała umiejętnie w sobie Pawła, a ten świata Bożego nie widział poza nią. Nie podobało się to Piotrowi, więc wyśmiewał młodszego brata z tego powodu, opowiadając, że Paweł traci siły przy Broni, wskutek czego jest niezdolny do żadnej pracy. Młodzieniec miał z tego powodu awantury nietylko z bratem, ale i z matką, która wytykała mu, że nic nie robi, ale włóczy się z Brońką po nocach. Na początku lipca powrócił raz w nocy Paweł do domu i pokłócił się z siostrą. Rozzłoszczony, chciał ją przebić, ale siostra uciekła z domu. Zbiegli się sąsiedzi i zaczęli godzić rodzeństwo. Piotr, który spał poza domem, wpadł do mieszkania z karabinem w ręku i jednym wystrzałem położył Pawła trupem na miejscu. Następnie oddał się sam w ręce policji. Ale tu jeszcze nie koniec nieszczęściom. W czasie Mszy św. na pogrzebie zabitego Pawła w miejscowym kościele zbolała matka osunęła się na podłogę i zmarła na udar serca. Na drugi dzień odbył się razem pogrzeb matki i syna. Pozostała córka wobec tylu nieszczęść ciężko się rozchorowała.

Straszny czyn umysłowo chorej. W zabudowaniach Tomasza Kowalczyka w Czorsztynie wybuchł pożar. W ogniu stanęła stajnia i stodoła, poczem płomienie przeniosły się na dom mieszkalny Sikory, który również spłonął doszczętnie. Jak stwierdzono, pożar wznieciła żona Kowalczyka, Józefa, umysłowo chora kobieta, która następnie sama rzuciła się w szalejący żywioł. Na szczęście Kowalczykową, choć ciężko poparzoną, udało się wyrwać z płomieni.

Tragedja dziecka. W Przemyślu została pokąsana przez psa 7-letnia Marysia Smokówna. Nie robiono sobie wiele z tego, sądząc, że niezbyt groźne rany na twarzy szybko się zagoją. Niestety, stało się inaczej; dziewczątko poczęło objawiać wściekliznę, Przewieziono je natychmiast do szpitala, gdzie zastosowano natychmiast wszelkie środki zapobiegawcze. Na nic się to jednak nie zdało, gdyż biedne dziecko wkrótce zmarło wśród najstraszniejszych cierpień. Ponieważ podobno ten sam pies pokąsał więcej osób, więc zachodzi obawa, że i u innych ludzi pokaże się wścieklizna.

Skon najstarszej Lwowianki. We Lwowie zmarła Antonina Kellerowa, licząc 120 lat życia. Śp. Kellerowa zachowała do ostatniej chwili przytomność umysłu i żywą pamięć.

Ślub w więzieniu. W kaplicy lwowskiego więzienia, tak zwanych Brygidek, odbył się ślub Marjana Zadorożnego, odsiadującego obecnie karę 16 miesięcznego więzienia, a mającego poza sobą za kradzieże i włamania już 7 lat więzienia. Zadorożny poślubił żonę jednego z kupców lwowskich, z którą ten ostatni wziął swego czasu ślub cywilny. Oczywiście pan młody natychmiast po ślubie poszedł z powrotem do więzienia, a panna młoda udała się do domu, aby oczekiwać niecierpliwie na uwolnienie ukochanego zbrodniarza.

Róże splamione krwią. Czego to ludzie nie czynią z wielkiej miłości. Nawet kradną! Jedni kradną pieniądze z kas i przeznaczają je na stroje dla swych wybranek, inni przywłaszczają sobie inne rzeczy, aby móc tylko coś ofiarować wybrance swego serca. Jest zwyczaj, że panienkom przynoszą młodzieńcy kwiaty, ale aby mieć kwiaty, trzeba posiadać własny ogródek, lub pie-

niądze, aby kwiaty te zakupić u ogrodnika. Zygmunt Dziekoński, 21-letni kolporter gazet we Lwowie, miał gorące serce, miał wybrankę tego serca, ale nie miał ogródka ani pieniędzy na kwiaty. A tak pragnął wręczyć wiązankę róż swej umiłowanej. Na jego nieszczęście w niektórych ogrodach kwitły wspaniałe róże, wybrał się więc nocą i pozrywał najpiękniejsze. Kiedy ze zdobyczą powracał o 3 nad ranem, napotkał brzydkiego policjanta. Ukrył pod ubraniem róże i chciał iść dalej, ale niegrzeczny policjant kazał mu się zatrzymać. Zygmuś nie usłuchał. Policjant wezwał go trzykrotnie do zatrzymania się, a kiedy to nie poskutkowało, dał strzał, raniąc Dzikowskiego w nogę. Cudowne róże zabarwiły się krwią. Dzikowski zatrzymał się wówczas. Policjant zabrał mu róże i jego na komisarjat. Niestety, umiłowana Zygmusia w dniu tym cudownych róż nie otrzymała.

Fatalna omyłka. Pomiędzy Stefanem Kuzią, robotnikiem wytwórni lodów w Samborze, a jego dwoma pasierbami Iwanem i Stefanem Sawko przyszło do bójki na tle nieporozumień majątkowych. Żona Kuzi, chcąc bijących się ostudzić, porwała garnek z wodą, stojący na kuchni, ale przez pomyłkę zamiast garnka z wodą zimną w zapale pochwyciła garnek z ukropem i chlusnęła wodą na bijących się. Skutki były opłakane, gdyż Kuzia został tak poparzony, iż musiano go odwieźć do szpitala w stanie bardzo groźnym, obydwaj synalkowie Kuziowej doznali lżejszych poparzeń.

Trąba powietrzna nad Samborszczyzną. W ubiegłym tygodniu przeszła nad Samborszczyzną trąba powietrzna, która wyrządziła olbrzymie szkody. Trąba pojawiła się w Planowicach, gdzie obok wielkiej ilości wyrwanych drzew i zniszczonych pól zniosła zupełnie 10 domów. Następnie przeniosła się do Strzałkowic i Biskowic, gdzie oprócz zniszczonych domów i zabudowań gospodarskich spowodowała gwałtowny wylew Strwiąża. Najdotkliwsze jednak straty wyrządziła na przedmieściach Sambora, w Powtórni i Powodowej, niszcząc domostwa i stodoły, trzebiąc doszczętnie sady owocowe, niszcząc zasiewy i drogi. Na szczęście trąba powietrzna objęła tylko pas ziemi szerokości 10 metrów, a trwała 3 minuty.

Z kryminału na tamten świat. Z Drohobycza donoszą: Z więzienia sądowego w Podbużu uciekł Stefan Kostyk z Opoki, odsiadujący karę 3 miesięcznego więzienia. W czasie pościgu przez dozorcę sądowego Kostyk rzucił się do rzeki Bystrzycy, chcąc ją przepłynąć, ale został porwany silnym prądem i utonął.

Bardziej kochał dolary, niż narzeczoną. Karol D. z Tyśmienicy zaręczył się z Rózią R. ze Stanisławowa, przyczem w umowie zaręczynowej było, że dostanie nietylko jej rękę i serce, ale i 5.000 dolarów. Równomiernie ze spadkiem dolara stygło też serca pana Karola. Aby je nieco pobudzić do większej miłości, pan Karol zażądał od rodziców swej „ubóstwianej" wyrównania straty dolarowej, ale rodzice odmówili. Wobec tego i serce pana Karola ostygło zupełnie. Zawiadomił, że zrywa z swą bogdanką, gdyż za 5.000 zdewaluowanych dolarów on panny Rózi kochać nie może. Muszą stygnąć i zapały miłosne, gdy dolar spada na łeb, na szyję.

Aresztanci w strojach kąpielowych. Prawdziwą zakałą społeczeństwa są komuniści, którzy ze złej woli lub często nawet głupoty działają na szkodę własnej ojczyzny za rosyjskie srebrniaki. Toteż policja śledzi ich i przeszkadza w ich zbrodniczej działalności. Aby ujść przed okiem policji, urządzili komuniści swój zjazd pod pokrywką wycieczki letniskowej do Andrzejowa pod Łodzią. Wykąpawszy się poprzednio z brudów cielesnych, choć dalej zbrukani duchowo, w strojach kąpielowych rozpoczęli obrady, nie wiedząc, że są śledzeni przez policję. W tej chwili nadjechał samochód ciężarowy z policją, która aresztowała obradujących komunistów i odwiozła ich w strojach kąpielowych do więzienia.

Aresztowanie defraudanta. W Łodzi aresztowano sekretarza Inspektoratu szkolnego Dudzińskiego, który pobierał z kasy pieniądze na opłacanie urzędników tego Inspektoratu i zamiast wypłacać je interesowanym z góry, jak był obowiązany, wypłacał dopiero zdołu, to jest z końcem miesiąca, wskutek czego każdy z urzędników tracił całą miesięczną pensję. Ponadto pan sekretarz przywłaszczał sobie pieniądze, przeznaczone na zaliczki dla nauczycieli duchownych. Suma zdefraudowanych pieniędzy wynosi około 15.000 złotych.

Warszawscy lekarze w kłopocie. Lekarze warszawscy nie mają szczęścia. Oto niedawno odbył się tam proces przeciw dwom chirurgom, którzy dokonali operacji biustu, zakończonej śmiercią pacjentki, o czem pisaliśmy w „Roli". Obecnie prof. Meissner dokonał operacji na artyście malarzu Drabiku, który w czasie operacji zmarł. Prokuratura pociąga prof. Meissnera do odpowiedzialności pod zarzutem nieumiejętnie przeprowadzone operacji. Wobec tego na chirurgów warszawskich padł strach i boją się przeprowadzać operacyj, wskutek czego mogą utracić zarobek. A z drugiej strony nie wolno im odmawiać dokonania operacji, jeżeli chory tego zażąda, gdyż wrazie odmowy podlegają karze. Wobec takiego zbiegu okoliczności są oni między młotem a kowadłem.

Biały lew. W miejskim ogrodzie zoologicznym w Warszawie przyszły na świat dwa młode lwy. Osobliwością jest, że jeden z nich jest prawie zupełnie biały, drugi zaś ma barwę zupełnie normalną. Wypadek urodzenia się białego lwa zachodzi po raz pierwszy w ogrodach zoologicznych. Lwiątka obydwa czują się bardzo dobrze, a i matka nienajgorzej.

Smutny pogrzeb samozwańczego biskupa. W Warszawie zmarł Stanisław Zacharjasiewicz, który uznawał się za biskupa kościoła narodowego. Ponieważ rodzina zmarłego wstydziła się swojego krewniaka, który, będąc dawniej kapłanem katolickim, zdradził wiarę swych ojców i głosił błędne nauki, przeto nie zajęła się jego pogrzebem. Wskutek tego zwłoki oddano medykom, aby czynili na nich doświadczenia naukowe. Dowiedział się o tem proboszcz parafji na Powązkach, ks. Kryger, który zwrócił się do ks. arcybiskupa Kakowskiego, aby mu pozwolił na pochowanie zwłok. Ponieważ stwierdzono, że Zacharjasiewicz cierpiał na obłęd umysłowy i działał nieświadomie, przeto ks. arcybiskup Kakowski nietylko udzielił takiego pozwolenia, ale dał nawet pieniądze na urządzenie pogrzebu. Pozbierano kawałki pokrajanego ciała przez studentów medycyny, złożono je do trumny i pochowano na cmentarzu dla bezwyznaniowych.

Porucznikowa mężobójczynią. W Modlinie pod Warszawą mieszkał z swoją żoną Teodozją porucznik Stefan Polaczek z Centrum wyszkolenia saperów. Kiedy por. Polaczek nie zjawił się do służby, jak był obowiązany, wysłano po niego żołnierza, aby dowiedział się o przyczynie jego nieobecności. Po przybyciu na miejsce żołnierz znalazł por. Polaczka, leżącego w łóżku, bez oznak życia. Wezwany lekarz wojskowy stwierdził śmierć przez uduszenie. Podejrzenie padło na małżonkę nieszczęśliwego, więc ją aresztowano. Potwór-baba przyznała się w śledztwie, że po sprzeczce, jaka miała miejsce między nią a jej mężem w nocy, gdy porucznik zasnął, okrutna kobieta udusiła go.

Śmierć pijaka. W miejscowości Łodzia pod Nakłem zabawiano się wesoło pijatyką. Gdy już umysły były dobrze podniecone, oświadczył 26 letni Pilarczyk z Anielina, że wypije jednym haustem litr czystej wódki. Jak to zwykle bywa, poszło o zakład. Pilarczyk wód-

kę wypił, zakład wygrał, ale w tej chwili padł nieprzytomny na ziemię. Zawezwano natychmiast lekarza, który wypompował żołądek Pilarczyka, a następnie odesłał go do szpitala w Wyżysku, ale nic nie pomogło, gdyż następnego dnia umarł

Dzik pod kołami samochodu. Marjan Murawski jechał z Bydgoszczy do Ciechocinka przez las. Nagle z otaczających drogę zarośli wypadł dzik, a oślepiony światłem reflektorów wpadł pod koła samochodu, ponosząc śmierć na miejscu.

Głupie samobójstwo. Wprawdzie służba wojskowa nie należy do zbyt wielkich przyjemności, ale jest ona korzystna dla każdego młodego człowieka, uczy go bowiem karności, porządku i rozwija jego inteligencję. Więc też od niej nie trzeba stronić, ale owszem trzeba być zadowolonym, gdy się tę służbę odbyć musi. Innego zdania był Józef Majda, młodzieniec ze wsi Tumowieckie w powiecie kaliskim. Kiedy został powołany do wojska i przy badaniu lekarskim dostał grupę „A", co znaczy, że będzie musiał odbyć służbę wojskową z bronią w ręku, tak się tem przejął, iż powiesił się na przydrożnem drzewie.

Katastrofa lotnicza. Z Poznania donoszą: Pod Murowaną Gośliną wydarzyła się katastrofa lotnicza, która pociągnęła za sobą śmierć dwóch młodych oficerów z 3 pułku lotniczego w Poznaniu. W czasie nocnych ćwiczeń samolotowych zapomocą reflektorów, jakie odbywały się pod Poznaniem, z niewiadomych przyczyn runął nagle z wysokości około 1.000 metrów samolot, który pogrzebał pod sobą obydwu lotników. Aparat rozbił się doszczętnie. Lotnicy, których wydobyto z pod gruzów, dawali słabe oznaki życia, wkrótce jednak zmarli: Byli to porucznik Stefan Wierusz i podporucznik Orłowski. Porucznik Orłowski osierocił żonę i dwoje małych dzieci.

Upaństwowienie polskiego gimnazjum w Orłowej. Do Czech zostało przyłączone na Śląsku między innemi także miasto Orlowa. Ponieważ w samej Orłowej, jak i w okolicznych wsiach mieszka wielu Polaków, utrzymywano tam prywatne gimnazjum polskie. Wskutek starań posłów polskich do parlamentu czeskiego, Dra Buzka i Chobota, gimnazjum to od nowego roku szkolnego zostanie upaństwowione, to znaczy, że utrzymania owego gimnazjum podejmie się rząd czeski.

Wylewy i śniegi na Bukowinie. Wskutek wylewu Prutu i jego dopływów na Bukowinie nastała wielka powódź, która pociągnęła za sobą fatalne skutki. Kilka wsi zostało zalanych wodą, a mieszkańcy ich posługują się wyłącznie łodziami, jako jedynym środkiem komunikacyjnym. Całe łany pól znajdują się pod wodą. Z górzystych okolic Bukowiny donoszą, że spadł tam śnieg, który grubą warstwą pokrył zbocza gór.

Głód w Rosji. Prof. amerykański Ryszard Sellet zwiedził ostatnio Rosję i obecnie opisuje swoje spostrzeżenia z tego olbrzymiego państwa. Według obliczeń Selletta w ciągu ostatnich 6 miesięcy w Rosji południowej i wschodniej, to jest nad Wołgą, dalej na Ukrainie i na Kaukazie północnym zginęło z głodu około 10 miljonów ludzi. W niektórych wsiach zmarło z głodu do 80% ludzi.

Widmo głodu w Estonji. Z powodu silnych upałów, dochodzących do 50 stopni, wszystko zboże w Estonji zostało na pniu spalone tak, że przed krajem tym stoi widmo głodu.

Olbrzymi pożar lasów. W całej Szwecji rozszalały olbrzymie pożary lasów tak, że w chwili, gdy te słowa piszemy, stoi w ogniu 40.000 mórg lasów, tak państwowych, jak i prywatnych. Do gaszenia pożarów zmobilizowano wszystkich mężczyzn tak, że po wsiach pozostały tylko kobiety. Również wszystkie załogi wojskowe biorą udział w akcji gaszenia ognia. Jeszcze gorzej przedstawia się sytuacja w Finlandji, gdzie płoną nietylko lasy na znacznych przestrzeniach, ale również wiele wiosek stało się pastwą płomieni. Zewsząd nadchodzą alarmujące wiadomości z prośbą o pomoc, której udzielić trudno ze względu na wielką ilość pożarów.

Pochodzenie Hitlera. Kanclerz niemiecki, osławiony Adolf Hitler, który tak bardzo dał się żydom we znaki, pochodzi, jak stwierdzają stare metryki, z rodu żydowskiego. Do czeskiej miejscowości przybyła jeszcze w roku 1687 żydowska rodzina nazwiskiem Fries. Jeden z tej rodziny zmienił później swe rodowe nazwisko na Abraham Hitler i od owego właśnie Abrahama pochodzi dzisiejszy Adolf Hitler, krwawy prześladowca żydów niemieckich. Pradziadowie Adolfa Hitlera wyemigrowali w XVIII wieku do Niemiec i tam się na stałe osiedlili.

Aresztowania księży w Niemczech. Pomimo, że Hitler stłumił zupełnie opozycję w Niemczech, rozwiązując wszystkie tamtejsze partje, pomimo, że tak komuniści, jak i socjaliści, a nawet centrum katolickie poddali mu się bez oporu, on dalej tępi tych wszystkich, którzyby odważyli się mieć inne zdanie od niego. A ponieważ przedewszystkiem księża niemieccy nie mogą się pogodzić z jego polityką, więc ich i to często bez najmniejszego powodu każe aresztować. Ostatnio został aresztowany proboszcz ks. Foery za to, że nie pochwalał działalności Hitlera. Ks. Foery był proboszczem w Honau.

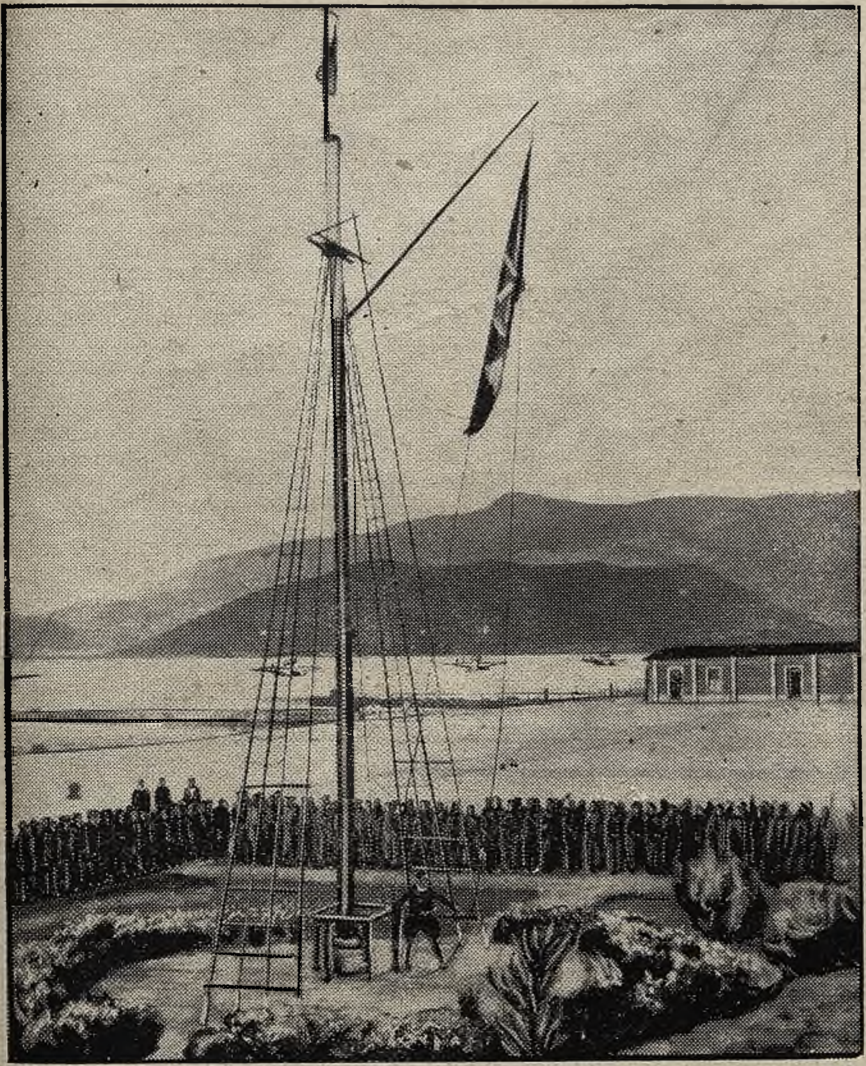
Cud w katedrze Roccamandolfi. Z Roccamandolfi we Włoszech donoszą, że w tamtejszej katedrze wydarzył się cud. W czasie Mszy św., odprawianej przy grobie św. Liberta, oczy świętego, który leży w szklanej trumnie, poczęły się poruszać, a powieki przymykać i otwierać. Na ten widok zaczęto wołać: „Cud! cud!" Przybył natychmiast do katedry biskup, który polecił zebrać wszystkie dane, odnoszące się do owego cudu, a nadto polecił, aby katedra była otwarta dla wiernych dzień i noc Trzeba zaznaczyć, że św. Libert, którego ciało spoczywało w katakombach w Rzymie, został przeniesiony do Roccamandolfi przed 150 laty.

Tygrysy na ulicach miasta. W czasie przedstawienia cyrkowego w miejscowości Eton pod Londynem wyłamały się z klatek trzy tygrysy i wtargnęły na widownię. Wśród publiczności wybuchła olbrzymia panika. Kilka osób zostało przez dzikie zwierzęta poważnie poranionych, kilkanaście kobiet i dzieci potratowano w czasie ogólnego zamieszania i ścisku. Tygrysy wydostały się na ulice miasta, gdzie przez kilka godzin wszelki ruch zamarł. Dopiero po długim i denerwującym pościgu udało się służbie cyrkowej złapać zbiegłych drapieżników przy pomocy specjalnych sieci i zamknąć z powrotem w klatkach.

Hojność miljonera. Wiadomo, że najczęściej biedacy chętniej wspomagają innych biedaków, aniżeli ludzie bogaci. Bogacze, magnaci, którzy na własne przyjemnostki wyrzucają nieraz krocie, dla biednego nieraz grosza nie mają. Natomiast biedak niejednokrotnie ostatkiem swojego mienia dzieli się z biednym, biedniejszym jeszcze od siebie, aby ulżyć jego doli. Charakterystyczny pod tym względem fakt notują gazety amerykańskie. Oto multimiljoner tamtejszy, John D. Rockefeller, w 94 rocznicę swych urodzin, którą obecnie obchodził, dał żebrakowi aż 50 centów, podczas gdy nigdy nie dawał więcej ponad 1 centa. Zdumiewająca hojność starego bogacza! Czyżby sądził, że pieniądze zabierze ze sobą do trumny? Ale nie lepsi i nasi bogaci bankowie.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy w zapasie. Wszyscy nowi Prenumeratorzy dla całości rocznika mogą je nabywać.

Rzeczy ciekawe.



Z Włoch do Ameryki przez Atlantyk.

Eskadra hydroplanów włoskich pod przewodnictwem generała Balbo dokonała wprost niebywałego czynu, przelatując z Włoch do Ameryki w ilości 24 jednostek lotniczych. Hydroplany włoskie wyruszyły z włoskiej miejscowości Orbetello, kierując się ku północy do Amsterdamu, odległego w linji powietrznej 1.400 kilometrów, a stamtąd do Londonderry na wyspie Irlandji, robiąc dalsze 1.000 kilometrów. Z Irlandji wyruszyły w kierunku północno-zachodnim ku Islandji i po przebyciu drogi 1.500 kilometrów wylądowały w Reykjawiku, stolicy Islandji. Stąd wzniosły się w powietrze i ponad oceanem Atlantyckim odbyły bez wypadku drogę 2.400 kilometrową, aby opuścić się w Cartwright na Labradorze w Ameryce Północnej. Eskadra została powitana w Cartwright wprost entuzjastycznie, gdyż rzeczywiście dokonała czynu, jakiego nikt przed nią nie dokonał. Na obrazku naszym widzimy moment podnoszenia flagi w chwilę przed odlotem eskadry w drogę. Przed samym odlotem generał Balbo wygłosił przemowę do załogi, a potem wszystkie hydroplany wzniosły się w powietrze, aby rozpocząć swą podróż, uwieńczoną tak wspaniałym sukcesem. Pomimo tak wielkich niebezpieczeństw, jakie tak długie drogi nastręczają, nie brak śmiałków, którzy ryzykują swe życie.

Jak widzą świat zwierzęta?

Znany biolog, prof. Uexhull, wygłosił w wiedeńskiej Uranji wykład p. t. „Jak widzą świat zwierzęta"? Każda istota, wywodzi prof. Uexhull, ma swój odrębny „świat otaczający", różny od świata każdego innego stworzenia. Każdy taki świat składa się z „miejsc" tak przestrzennych, jak i czasowych (momentów). Im więcej takich miejsc dana istota posiada, tem więcej szczegółów świata otaczającego może ona poznać, gdyż poznawanie odbywa się tylko w obrębie tych właśnie miejsc. Najwięcej tych miejsc posiada człowiek. Dla niego sekunda zawiera 18 „momentów" czasowych, podczas gdy np. dla ślimaka zawiera ona tylko trzy. (To znaczy, że ślimak nie jest w stanie spostrzec ruchu odbywającego się w czasie krótszym, niż jedna trzecia sekundy).

Różny jest także sposób reakcji na bodźce zewnętrzne u każdej istoty. Tak np. konik polny reaguje silniej na dźwięki, niż na widok znanej rzeczy; jeż morski jest wprawdzie na całej powierzchni swego ciała wrażliwy na światło, nie rozróżnia jednak ani barw ani innych szczegółów i spostrzega tylko cienie mijających go zwierząt i przedmiotów; robak rozróżnia wszystkie przedmioty tylko zapomocą smaku, a rak pustelnik zapomocą różnych odcieni barw, które przybiera dlań dany przedmiot, zależny od okoliczności. Tak więc widzi on to samo zwierzę w różnych „odcieniach", zależnie od tego, czy pragnie się z niem zaprzyjaźnić, czy je pożreć.

Jak sobie niektórzy uczeni wyobrażają koniec świata?

W słynnem laboratorjum niskich temperatur, istniejącem przy uniwersytecie leydeńskim, fizyk holenderski, prof. Keesom, osiągnął temperturę — 272.29 stopni Celsjusza, a zatem wyższą zaledwie o 0.71 stopnia od punktu zera bezwzględnego według Kelvina.

Cóż to jest zero bezwzględne? Jest to stan, w którym ciało już żadnego ciepła nie zawiera, czyli, gdy wszystkie jego cząstki są w zupełnym spokoju, wszelki ruch molekuł ustaje, słowem następuje śmierć materji zupełna. Dla badaczy wszechświata, jego dziejów i prawdopodobnego końca zero bezwzględne oznacza koniec świata.

Pewnego dnia, a raczej w pewnej chwili za biljony i tryljony lat słońce utraci ostatki swego ciepła, stanie się już tylko olbrzymią kulą popiołów, a resztki atmosfery, otaczającej jeszcze w owej chwili ziemię, spadną na nią pod postacią śniegu z kwasu węglowego i deszczu skroplonego powietrza. Gazy takie, jak wodór, krypton, neon, argon i ksenon opadną w kształcie mgły, wreszcie wszystko zakończy spadnięcie kilku kropel helu. Nastanie zero bezwzględne, a z niem śmierć świata, cisza wieczna.

Mandżurskie znaczki pocztowe.

Nowe państwo azjatyckie, Mandżurja, obchodziło pierwszą rocznicę swego powstania dzięki Japonji w sposób zupełnie nowoczesny, nietylko bowiem urządziło uroczyste obchody i puszczało ognie sztuczne, ale także wydało pierwsze swe pamiątkowe znaczki pocztowe i pocztówki.

Biuro pocztowe w Charbinie było podobno oblężone przez filatelistów w dniu ukazania się tych znaczków pamiątkowych nowego państwa.

Rośliny niszczą gruźlicę.

Prof. Jan Mursh z Hamburga ogłosił w fachowych pismach lekarskich swoje sensacyjne wyniki badań nad zarazkami gruźlicy. Profesor Mursh, słynny uczony, znany z dotychczasowych prac nad morfologją zarazka gruźlicy, zaszczepił tę chorobę roślinom. We wszystkich wypadkach udało się w ten sposób zniszczyć całkowicie zjadliwość zarazków gruźlicy.

Masło z trawy.

W obecnych czasach kryzysu ludzie chwytają się najróżnorodniejszych sposobów, sprzedając nawet wymagowane porady, żeby żyć. Przykładem tego może być pewien bezrobotny w Paryżu, który w dzielnicy Montparnassu sprzedawał za drobną kwotę pół franka przepis, jak robić masło... z trawy.

Klijentom swoim wręczał on zapieczętowaną kopertę, w której znajdował się kawałek papieru z następującą radą:

„Kupić łąkę, a następnie krowę. Puścić krowę na pastwisko, niech się żywi trawą. Trawa zamieni się wkrótce w mleko. Wydoić krowę, mleko wlać do maślniczki i zrobić masło".

Porady sprytnego bezrobotnego cieszyły się powodzeniem i mimo, że okazywały się „kawałem", lub może właśnie dlatego, nikt się na niego nie obrażał. Jednakże policja po kilku dniach uniemożliwiła mu ten proceder.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: Stanisław **Jeleń** w S.: W nadesłanych nam wierszykach jest pewien polot i łatwość rymowania, ale brak w nich ostatecznego wykończenia. Nie wydrukujemy. — K. **Działa** w Cz.: Aby wziąć udział w losowaniu nagród za rozwiązanie zagadek, trzeba wszystkie zagadki dobrze rozwiązać. Pan przysłał tylko trzy rozwiązania i z tych jeszcze jedno błędne. — Michał **Mika** w L.: Obydwie powieści skończą się niedługo. Mamy już w projekcie kilka nowych utworów o bardzo zajmującej treści. Ostatecznie zadecydujemy wkrótce. — Franciszek **Bachowski** w K.: W cenniku firmy Freege, Kraków, ul. Lubicz 36, są jabłonie po 2 zł., grusze po 3 zł., wiśnie po 2 zł. 20 gr. Może w jesieni będą tańsze. Zresztą potrzebuje Pan 60 sztuk, a rabat dają. Niech Pan zamieni korespondencję z powyższą firmą w tej sprawie. (Załączyć znaczek). Drzewka można sadzić dopiero od 15 października. — Paweł **Piłat** w M.: Wkrótce wyjdzie rozporządzenie wykonawcze do tej ustawy i może jeszcze w roku bieżącym wybory się odbędą. Obszary dworskie są obecnie częścią składową gminy. Od uchwały Rady gminnej można wnieść rekurs do odnośnego starostwa, gdy Pan widzi, że gmina z tym szarwarkiem postąpiła niesprawiedliwie. Gąsienice można niszczyć cieczą hordoską, do której potrzebny jest rozpylacz. Sam rozpylacz kosztuje 10 do 15 zł: Opłaci się ten wydatek przy większym ogrodzie. Nabyć można w firmie E. Freege, Kraków, Sukiennice. Nieco później zamieścimy w „Roli" w dwóch lub trzech numerach rozprawę o hodowli winogron. — Piotr **Werner** w R.: Prosimy podać cenę tej broszury. — Józef **Kawa** w Z.: Odpowiemy w Nr. 32.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Florjan Ciebiera z Rz.).

■ ☆ ■ Wezwanie.
■ ☆ ■ Spód.
■ ☆ ■ Zadowolony
■ ☆ ■ Spójnik.
■ ☆ ■ Płyn l. mnoga 2 przyp. wspak.
■ ☆ ■ Przyimek.
■ ☆ ■ Precz w obcym języku.
■ ☆ ■ Opłata wspak.
■ ☆ ■ Zwierzątko (z kropką).
■ ☆ ■ Imię żeńskie.

Litery w miejscu kwadracików, czytane z góry na dół dadzą tytuł znany Czytelnikom „Roli".

2. Zagadki.

(Ułożył Górnik).

Byłem raz na świecie,
Dobrze o tem wiecie
Com zdziałał zgadniecie,
Bom był groźnym przecie,
Moje nazwisko tak z przodu jak z tyłu,
Po mnie ni śladu, ni życia, ni pyłu

II.

Pierwszem dziecię nas pozdrawia,
Pierwsze drugie pcha maszyny,
Drugie trzecie ból nam sprawia,
Całość to nazwa krainy.

3. Szarady.

(Ułożył Arkadjusz Szarek z S. W).

I.

Pierwsza z trzecią na skrzyniach ich macie,
Drugie dużo znajdziesz ich w warsztacie
U stolarza Całość — zwierzę małe,
Które w lesie spędza życie całe.

II.

Pierwsze znaczy tyle, co „nac ska",
Druga z trzecią — to ozdoba ptaków.
Całość — ptak to, z wyglądu, z nazwiska,
Z głosu znany każdemu z wieśniaków.

III.

Pierwsza z trzecią natenczas powstaje,
Gdy bez ładu złożysz dużo rzeczy,
Pierwsza z czwartą — skąpemu się daje
Taką nazwę; druga z trzecią — cieczy
Imię, którą z ziemi się dobywa.
Całość — ptak, co w zbożu się ukrywa.

4. Układanki.

(Ułożył Kazimierz Działa z Cz).

1. Niedobro + rodzajnik = metal.
2. Posiada + spółgłoska + nie góra = instrument muzyczny.
3. Rzemień + zaimek = smar.
4. Poeta + spółgłoska + litera fon. = kraj.
5. Wytwór mleka + spółgłoska + zaimek = kraj.

5. Kwadrat magiczny.

A	A	K	K	Czas obecny.
N	N	O	O	Robota.
O	P	R	S	Koniec życia.
S	T	T	Y	Zabawa.

W powyższym kwadracie litery tak poprzestawiać, by dały jednakowe znaczenie w kierunku poziomym jak i pionowym.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy w nagrodę dwie książki dla rozwiązujących.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 28 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 28 „Roli": 1. Łamigłówka: Balladyna. 2. Szarady: I. Odważniki. II. Kalkulacja. 3. Zagadka: Katowice. 4. Układanki: I. Tulipan. II. Lilja. III. Aster. IV. Róża. V. Narcyz. 5. Kwadrat magiczny: Kunaudar-mara-arak.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali pp.: Feliks Popielarczyk z S., Jan Stypa z W., Izydor Kania z K., Karol Miętka z T., Irena Niwicka z U., Kajetan Migdał z Ł.

Nagrody otrzymali: Jan Stypa z W. i Irena Nowicka z U.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Odwrotnie.

Niemasz wstydu, niemasz czoła być pijanym tak!
Czego włóczysz się po nocy? czego ci to brak?
Uspokój się, żonko miła, drogi mój aniele!
Nic mi niebrak... Nawet, nawet mam trochę — zawiele.



Po niewczasie.

— Masz czas, to chodź na ślub Wojtka.

— Z zasady, nie chodzę nigdy na śluby — całe życie żałuję, żem na swój własny przyszedł.



Sprytny chłopczyk.

— Tatusiu, czy chcesz jeszcze kawałek tortu?

— Nie, moje dziecko.

— Tatusiu, a teraz zapytaj ty mnie tak samo.



Nędzarze.

Raz spotkałem dwóch biedaków siedzących przy drodze,
Więc się pytam o powód dotkniętych tak srodze —
I rzeknie mi nędzarz w jedynej koszuli:
— „Ja proces mój przegrałem, z mienia mnie wyzuli!"
I prosząc o jałmużnę, na kolana pada.
A drugi całkiem nagi, tak mi odpowiada:
— „Ja zaś proces wygrałem, niech go porwą kaci!
Bo całą moją własność wzięli — adwokaci!"

Podziękowanie.

Wielmożny Pan Michał Popow
Wytwórnia przyborów pszczelniczych, oraz pracownia blacharska, Kraków, ul. św. Tomasza l. 2.

Jako początkujący pszczelarz mam już zaufanie i przekonanie, że węza sztuczna, którą u WPana kupiłem zeszłego roku jest najlepszą węzą sztuczną dla pszczół. Dowodzi to, że węzę sztuczną dałem pszczołom bardzo późno, a jednak potrafiły ją dorobić i przezimować na niej, oczywiście dzięki tylko WPanu za dobry i czysty wosk no i dobre wykonanie.

I radzę, aby wszyscy początkujący pszczelarze kupowali węzę sztuczną tylko u WPana, która słynie z jakości, dobroci i taniości.

Jednocześnie proszę uprzejmie o przysłanie mi 3 kg. węzy sztucznej słowiańskiej.

Kreślę się z poważaniem — Lubera.
Lubera Wojciech, Nro domu 732, poczta Niepołomice.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 18 lipca b. r.

Pszenica	36·50—37·00	Słoma długa	4·75—5·00
Żyto	24·50—25·00	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	16·00—16·50	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	21·50—22·50	Mąka żytnia	30·00—31·00
Fasola biała	23·00—25·00	Mąka pszen.	67·00—68·00
Groch zwyk.	30·00—32·00	Otręby pszen.	11·00—11·25
Siano słodk.	7·50—8·00	Otręby żytnie	11·00—11·25
Łubin żółty	00·00—00·00	Mąka czerw.	14·50—15·00
Konicz pastew.	9·00—9·50		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 18 lipca b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje	od 0·60 do 0·72 zł.	Jałownik	od 0·60 do 0·70 zł.
Woły . .	od 0·60 do 0·68 zł.	Cielęta .	od 1·00 do 1·16 zł.
Krowy .	od 0·55 do 0·63 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·00 do 1·20 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·40 do 1·50

Śpiew i muzyka.

Mimo różnych niedomogów życiowych, człowiek chętnie słucha śpiewu lub muzyki, a wielu młodych pragnie uczestniczyć w wykonaniu słyszanych melodyj. To też wielu ludzi obdarzonych słuchem muzycznym, rwie się do nauki gry na instrumencie najwięcej mu odpowiadającym. Niestety często z braku czy to sposobności czy też funduszów, ograniczyć się muszą do naśladowania melodyj zasłyszanych, gdyż nie mieli i nie mają możności poznania sztuki nut, — niektórzy znowu posiadający zapomniane początki, — znajdują się w tem samem co i pierwsi położeniu.

Zwrócić wypada uwagę na podręcznik wydany przez jednego z amatorów muzycznych, służący jako samouk do nauki gry na skrzypcach i to bez pomocy nauczyciela, obejmujący praktyczne ćwiczenia i wyczerpujące objaśnienia wraz z ilustracją t. zw. palcówek a z zestawienie klucza wiolinowego z kluczem basowym i altowym, znajdującego się przy końcu samouka, każdy obeznany z zastosowaniem nut na skrzypcach, potrafi się zorjentować ze zastosowaniem ich na dalszych instrumentach smyczkowych, t. j. na altówce, basetli i basie.

Przystępna cena samouka 6 zł. udostępnia każdemu możność nauczenia się gry na wymienionych instrumentach.

Wysyła za pobraniem pocztowem wydawca Piotr Woltal w Bochni.